Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski, Prezes Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich z ubitym na rykowisku w dniu 5.IX b. r. łosiem, dwunastakiem, w ordynacji dawidgródeckiej, urocz. Tereteń.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 32 (736) 10 LISTOPADA 1933 R.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej w otoczeniu rodziny ks. Lubomirskich podczas obiadu na polowaniu w Kruszynie.

OD REDAKCJI.

Z dniem 1-go listopada b. r., na zasadzie postanowienia Wydziału Wykonawczego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, wydawnictwo nasze zostało zwiększone w swej każdorazowo ukazującej się objętości do 20-tu kolumn druku, zamiast dotychczasowych 12-tu.

Jest to zmiana, wymagająca podkreślenia, lecz również przy sposobności nieco bliższego oświetlenia.

Ogólny kryzys zmusił i nasze pismo do uszczuplenia łamów. Stało się to ze szkodą czytelników, lecz było wynikiem długów, jakie zaciążyły na budżecie P. Z. S. Ł.

Rok wytrwałości, rok borykania się i nadzwyczaj ostrego zastosowania wszelkich możliwych oszczędności pozwolił wreszcie to zło tak dalece zmniejszyć, że, stojąc dziś u progu powrotu do wyrównania budżetowego w ramach własnej wystarczalności, Wydział Wykonawczy zdecydował się rozluźnić mocno ściągniętego z konieczności pasa.

Z faktem tym łączy się dla nas miły obowiązek wyrażenia głębokiej wdzięczności tym wszystkim, którzy nas nie opuścili, nie zrejterowali z szeregów, lecz starali się cegiełkami zdecydowanej podpory realnie usiłowania nasze podtrzymać i z myślą o lepszej przyszłości dopomogli nam do wyjątkowego w dzisiejszych czasach powrotu do rekonstrukcji ram naszej działalności piśmienniczej.

Podkreślić przeto chcemy specjalnie dobrą wolę i wyrozumiałość całej rzeszy prenumeratorów „Łowca Polskiego", którzy nie wahali się otrzymywać przez dłuższy okres czasu skromnego wydania tego pisma. Uznać to należy i rozumieć, jako całkowite zwycięstwo ideowych wartości sprawy nad wyrachowaniem i upodobaniami osobistemi.

Następnie należy się prawdziwa wdzięczność tym autorom i współpracownikom, którzy nie dla zysków także nie zrywali kontaktu z naszym organem, nieraz ofiarnie i wydatnie przyczyniając się do wytrwania na posterunku, którego utrzymanie było naszą największą troską.

Są to wartości, które same za siebie mówią. Toteż z wielką radością dzielimy się ze wszystkimi wiadomością o przetrwaniu najcięższego dla naszego wydawnictwa czasu i zapewnić chcemy, że wytężymy wszystkie siły, aby dług naszej wdzięczności spłacać nadal nietylko słowami, lecz przez postawienie organu P. Z. S. Ł. na możliwie najwyższym poziomie.

A tych, którzy nam dotąd pomagali, ośmielamy się prosić o serdeczne zajęcie się propagandą w kierunku pozyskiwania jak największej ilości nowych prenumeratorów, co znów jedynie w poziomie pisma i jego szacie wyraz swój znajdzie lepszy.

CZY ZWIERZYNA ŁOWNA MOŻE BYĆ „UŻYTECZNĄ", LUB „NIEUŻYTECZNĄ".

Kwestja, dotycząca ochrony drapieżników, została tak wszechstronnie i wyczerpująco potraktowana w całym szeregu artykułów, tak najrozmaitsze zdania i poglądy zostały wypowiedziane, że niema chyba myśliwego, któryby w jednym z tych artykułów nie znalazł tych właśnie przekonań, którym hołduje. Ponieważ przekonania, którym hołduję, są już wypowiedziane, bezcelowem byłoby jeszcze raz je powtarzać, nie mogę jednak pominąć niezrozumiałego dla mnie ujęcia pewnych zasadniczych pojęć, oraz terminologji łowieckiej.

Przyrodnik dzieli wszelkie stworzenia na rozmaite kategorje, między innemi na użyteczne i nieużyteczne i podział ten jest całkiem zrozumiały. Zupełnie jest też zrozumiałe, że niejeden miłośnik przyrody może się negatywnie ustosunkować do łowiectwa i jakiekolwiekbądź określenie stworzeń, jako zwierzyny łownej, może go bliżej nie obchodzić.

Każdy prawdziwy myśliwy powinien być i miłośnikiem przyrody, lecz, jako myśliwy, nie może pominąć podziału stworzeń na zwierzynę łowną i zwierzęta niełowne, a do pojęcia o zwierzynie łownej klasyfikacja na użyteczną i nieużyteczną zastosowana być nie może. Niezrozumiałem jest wobec tego stanowisko, zajęte przez niektórych autorów ogłaszanych artykułów, znanych i wybitnych myśliwych, którzy, nie uwzględniając podziału stworzeń na zwierzęta łowne i niełowne, dzielą te pierwsze na zwierzynę użyteczną i nieużyteczną.

Na czem polega łowiectwo i co nazywamy zwierzyną łowną?

Zwierzyną łowną nie jest wszelkie stworzenie, ale tylko pewna część mieszkańców naszych pól, lasów, bagien i wód, a łowiectwo nie polega na bezmyślnem hodowaniu, a potem zabijaniu wszelkich stworzeń, lecz na hodowaniu i polowaniu na te tylko okazy, z których możemy mieć jakikolwiek użytek, czy to w postaci mięsa, czy to skór i t. p. i ta tylko kategorja stworzeń nosi miano zwierzyny łownej.

W moich pojęciach łowieckich mogę ją podzielić na: grubą i drobną, stałą, przejściową lub przelotną, na kulturalną i dziką, na drapieżną, czyli mięsożerną i na roślino lub owadożerną, ale na użyteczną lub nieużyteczną podzielić jej nie mogę, bo podział taki sprzeczny jest z pojęciem o zwierzynie łownej.

Każda czworonożna zwierzyna łowna, przebywająca w naszych rewirach, jest szkodnikiem; zając — dla sadów i szkółek; sarna i jeleń — dla kultur i lasów; dzik — dla pól; ryś, wilk i lis — dla drobnej zwierzyny i domowego inwentarza i t. d. Stosunek i rodzaj wyrządzanych szkód nie przesądza faktu jej szkodliwości. Ale wszystkie bez wyjątku wymienione rodzaje zwierzyny, z chwilą jej upolowania, stają się użyteczne, bo wszelkie stworzenie ubite przez nas, które jest bezużyteczne, będzie nie upolowane, a tępione lub mordowane, jak kto woli. Może to być robione celowo, lub bezmyślnie — to inna sprawa.

Tyle o terminologji i o podziale zwierzyny. Przejdźmy do drapieżników.

Tworzenie jednego bloku z rysia, wilka, palumbariusa, wrony i t. p., z punktu widzenia miłośnika przyrody jest zrozumiałe, z punktu widzenia łowieckiego — nie. Myśliwy powinien rozgraniczać od ogółu drapieżników te, które są zwierzyną łowną, a z ogólnego pojęcia zwierzyny łownej musi wydzielić jeszcze pojęcie objektu łownego.

Miano objektu łownego można dać temu rodzajowi zwierza, który w danej miejscowości, dzięki wyłącznym i sprzyjającym warunkom, ma swoje naturalne lub sztuczne ostoje i, wobec tego naturalnego lub sztucznego rozpowszechnienia, przedstawia rzeczywisty objekt łowiectwa, który — bez względu na to, czy jest, czy nie jest drapieżnikiem — powinien korzystać z czasu ochronnego. Posiadamy następujące drapieżniki, które w poszczególnych naszych dzielnicach są objektem łownym: ryś, żbik i wilk. O lisie nadmienię później.

Ryś, żbik i wilk wymagają specjalnych warunków dla swojej egzystencji i wobec tego rozprzestrzenienie ich terytorjalne jest ściśle ograniczone. Właściciele łowisk zachodu, którzy lata pracy włożyli w organizację swoich rewirów i mają tak świetne dziś rezultaty, nie obawiają się dla swych zwierzostanów tych drapieżników; do naszych rysi i wilków pretensji nie mają i nigdy mieć nie będą; z pewnością też pozostawią tym, którzy posiadają w swych łowiskach tego zwierza, stanowienie o potrzebie jego ochrony lub naodwrót.

My zaś na naszych Wschodnich Kresach w stosunku do rysia i wilka, a w łowiskach Karpat jeszcze do żbika, łatwo dojdziemy do porozumienia. Będąc entuzjastą wilczym i rysim, przyznaję, że zamieszkujące moje rewiry sarny i zające bez wahania im poświęcę, ale nie zdziwiłbym się, gdyby na tych samych Kresach, prawie w tej samej okolicy, ks. Karol Radziwiłł, stworzywszy wspaniały rezerwat łosi, tępił tam wszelkie drapieżniki, któreby im zagrażały. Tosamo dotyczy posiadaczy rykowisk w Karpatach. Linje demarkacyjne są tak jasne, zadania łowieckie tak ściśle wytknięte, że wątpliwości i nieporozumień być nie może, byleby ta kwestja przez prawdziwych myśliwych, po-myśliwsku i myśliwskiemi kategorjami była traktowana.



Fragment z polowania w Kruszynie: Pan Prezydent Rzeczypospolitej przed zajęciem stanowiska.

Pan H. Knothe w artykule swoim, który zapoczątkował polemikę na temat ochrony drapieżników, zwrócił główną uwagę na kwestję lisów. Jakże to jest słuszne! Właściwie to ten lis rozpętał burzę w szklance wody, ten lis, który czuje się jednakowo w głębi poleskich puszcz, jak i w najwięcej uprzemysłowionym zakątku Polski. Myśliwi z zachodu nie oddadzą mu bez walki na pastwę swoich zwierzostanów, taksamo jak ja, który z cynizmem poświęcam wilkom i rysiom moje sarny i zające, powiem lisowi: wara od moich głuszców.

Reasumuję. Żadnemu myśliwemu nie może chodzić o ochronę gołębiarza, wrony, sroki. Myśliwym z zachodu nie może chodzić o wytępienie naszych wilków lub rysi. Pozostaje wszędobylski lis, a całe zagadnienie o ochronie drapieżników koło niego się koncentruje.

Nie mówmy więc ogólnikami o ochronie drapieżników, a mówmy jasno: ochrona lisa, a nowelizacja ustawy łowieckiej.

Słusznie powiedział p. H. Knothe, że „wody z ogniem połączyć się nie da", ale nie przesądzajmy *a priori*, czy ogień przed wodą, czy woda przed ogniem ma ustąpić; nie traktujmy tych żywiołów nadrzędnie lub podrzędnie, a tembardziej nie dzielmy ich na użyteczne i nieużyteczne.

Nazywajmy rzeczy po imieniu. Nie dyskutujmy o ochronie drapieżników niełownych, bo taka ochrona z punktu łowieckiego to nonsens; nie dzielmy zwierzyny na użyteczną i nieużyteczną, bo to nie połowiecku, ale dyskutujmy nad tem, gdzie i jak, w imię zasad prawdziwego łowiectwa, ochraniać „wodę", a gdzie „ogień", bo i jedno i drugie jest objektem łownym.

Nie łudźmy się. Nowelizacja ustawy łowieckiej, żadne wogóle prawo pisane, sprawy ochrony drapieżników ku ogólnemu zadowoleniu rozstrzygnąć nie może, bo tak różnorodnych warunków łowieckich, jak nasze, unifikować jednym paragrafem nie można.

Projekt obwodów łowieckich i hodowlanych, podany przez p. W. Gordziałkowskiego, uważam za zdrowy i traktowany prawdziwie po-myśliwsku. Mamy tej miary organizację, jak Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, która sprawę tę mogłaby ująć w swoje ręce. Tylko prawo nie pisane, dyscyplina łowiecka, autorytet P. Z. S. Ł., może po-łowiecku tę sprawę rozwiązać. P. Z. S. Ł. winien dawać nam wytyczne, gdzie „ogień" ma ustąpić przed „wodą" i odwrotnie. P. Z. S. Ł. nie ma potrzeby rządzić się ani przewrażliwionym sentymentem miłośników przyrody, ani demagogicznemi hasłami krzywd, czynionych ludności przez nasze drapieżniki. Powinien tam, gdzie ustawa zbyt humanitarnie traktuje tę ochronę, wyjednywać wyjątki, gdzie nie dość obwarowała byt rzadszym drapieżnikom — autorytetem swym nakazywać myśliwym tę ochronę.

Jeżeli dyskusję postawimy na tej platformie, będzie to prostsze, zrozumialsze, nie da tematu do „*deductio ad absurdum*", a całkowicie potraktowane będzie po-łowiecku.

WACŁAW PODHORSKI.

AKLIMATYZACJA — ROZMNOŻA DAWNYCH I NOWYCH GATUNKÓW W ŁOWISKACH.

Aczkolwiek zwierzostany nasze, dzięki Bogu, wybitnie powiększają się, koniecznem jest pomyśleć nietylko o utrzymaniu już prosperujących odmian, lecz także o pewnych kombinacjach hodowlanych, mających na celu objekty, wyniszczone na poszczególnych terenach, oraz nadające się do aklimatyzacyjnych zabiegów z pośród egzotycznych nawet gatunków.

Chciałbym przedewszystkiem zwrócić uwagę właścicieli łowisk i kółek myśliwskich szczególnie na tereny kresowe.

Tyle już pisze się i mówi o sanacyjnej roli lisów, a nawet wilków — z dodatkiem do tych ostatnich pierwiastku estetycznego jako łącznika, nadającego aureolę byłym puszczom, których tradycje na kresach jeszcze pozostały! (patrz Nr. 29 Ł. P. Wolna Trybuna).

Ma ów urok rzekomo nazawsze zczeznąć — z ostatnim przedstawicielem rodu „lupusów". Drapieżnik ów nadaje jeszcze piętno — w oczach ludu — pewnego niebezpieczeństwa. Sądzę, że ów estetyczny szkodnik, z takim traktowany sentymentem, dałby się zastąpić i to przez inną ozdobę naszych lasów, o daleko mniejszej skali szkodliwości, mianowicie przez dzika — brutala.

Każdy przyzna, że nie jest to zwierzyna tak zwana „kulturalna", to nie królik lub zając o klinicznej niemal hodowli, lecz w całej pełni prawdziwa, myśliwska sztuka, godna strzału i oblicza pańskiego.

Nie negując wielkiej przyjemności strzału do wilka, zdaje mi się, że i zrulowanie pięknego odyńca przedstawia arcymiłe przeżycie venatorskie i także przytem rzetelny wytryska dreszczyk w duszy myśliwskiej. No — i niebezpieczeństwu, i to nie tylko w oczach ludu, podlegać można.

Więc dlaczegóżby nie zwrócić należytej uwagi na szlachetną rasę „porcusów?". Zaiste — wspaniale wygląda poważny pojedynek, „bakenbardzista", gdy z zaśnieżonego igliwia łeb swój wychyla.

Nie mniej, kiedy to, groźnie szablami kłapiąc, z legowiska swego powstaje, czy też gdy rozwścieczony, psami, jak muchami, oblepiony, przez myśliwca zostaje celnie dostrzelony, albo nawet zakłuty, podobnie, jak każdy z tych poległych 79-ciu od kordelasa hr. Józefa Platera lub z 200-tu podobnych hr. Zamoyskiego... Wyczyn to nielada i stanowczo nie na dzisiejsze miękkie czasy.

Bodaj, że nastroje i przeżycia podobne sowicie wynagrodzą amatorów słusznego zresztą zupełnie delektowania się widokiem zbójeckiego przekradania się wilczka z pod naganki.

Znany mi jest jeden li-tylko wypadek „zestrunienia" ogromnej, ranionej wilczycy przez mego Wierzchowieńskiego sąsiada ś. p. Franciszka Potockiego w drugiej połowie ubiegłego stulecia, na Ukrainie. Monstr albowiem rzucił się na niego.

Więc zdaje mi się, że na zamianie nie stracimy wiele, natomiast sarny i inne „cervidy", nawet zajączki naczysto wiele wygrają.



Osiemnastak z Wielkopolski, ubity przez p. Esden-Tempskiego. Waga wieńca 7,5 kg.

Oprócz tego, na obszarach, na których niema i być nie może żadnej nadziei co do rozmnoży łosi, dlaczegóżby nie starać się o zasiedlenie grubego zwierza, najszlachetniejszego pod słońcem — mianowicie jelenia, no i poniekąd jego „surogatu" — daniela.

Ten ostatni z łatwością wielką daje szybki przyrost swego rodu w łowisku. Z praktyki mogę to potwierdzić, gdyż z 12-tu danieli, sprowadzonych do mojej Wierzhowni przed wojną, osiągnąłem etat do 600 sztuk!

Oczywiście, niema żadnego porównania ów „cervus dama" do swego pobratymca, królewskiego zwierza, w wieńcu którego ongiś ujrzał nasz ś-ty patron Godło Męki Zbawiciela, ale zawsze to sztuka okazała i dla „sontags-jegrów" nawet bardzo pożądana

i miła, pomimo groteskowego swego beczenia w czasie rykowiska, koziego ogona, którym się od much opędza, daje bowiem wyborne mięso. Na skutek czego godny to objekt dla naszych rewirów pod względem ekonomicznym i stanowczo warto go hodować.

Co zaś tyczy się ptactwa, to przedewszystkiem trzeba mówić o głuszcach, cietrzewiach, jarząbkach i pardwach, liczba których przy odpowiednich warunkach tak łatwo nanowo może powstać, lub powiększyć się tam, gdzie już się znajdowały, byleby nabywać żywe egzemplarze, o które obecnie tak nietrudno u nas i zagranicą.

Niejeden mszarnik, nietylko ziemi Wileńskiej, ale nawet na poleskich brzeźniakach, mógłby się roić od tych wspaniałych ptaków.

Przy dobrych chęciach i pod fachowem kierownictwem wszystkie „byłe" gatunki mogłyby znowu zasiedlić rewiry, z których chciwość i ciemnota ludzka nazawsze je wyrugowały.

A ileżby rzeczywistego uroku dodały naszym kniejom!

Wyobraźmy sobie wilczków „vacant", natomiast rykowisko jeleni w całej swej krasie, mioty zimowych polowań przepełnione czarną zwierzyną, o łowach na którą tak przepięknie pisze w „Szczęśliwych dniach" hr. St. Badeni, aż ślinka z ust cieknie.

Z pod naganki sypią się rudle danieli, dające też piękne okazje do kulowych strzałów na podjazdach, lub wychodnem.

A w sferach powietrznych misterja gry głuszców, furkoty podrywających się pardw, do jarząbków błyskawiczne strzały — czyż to nie raj dla myśliwego: podobna rozmnoża, czy wskrzeszenie różnolitych gatunków?

I nie jest to żadną utopją, a leży w zakresie zupełnych możliwości.

Oby się to prędzej stało!

Naturalnie w dziedzinie aklimatyzacyjnej prawie wykluczonem jest ożywienie naszych łowisk nowemi, czworonożnemi gatunkami. Chyba jeleń Wapiti i sarna Pygargus do tego mogłyby się jeszcze nadać. W przedwojennym Pilawinie ś. p. Józefa hr. Potockiego szło to niezgorzej.

Ale nie wyobrażam sobie, jakby wyglądały jakieś brazylijskie „kapiwary", albo jeszcze gorzej taki dziwoląg, jak „kanguro", na tle polskiego krajobrazu. Zresztą żyjemy w wieku praktyczności i kryzysów przeróżnych... Nie zbadawszy gruntownie utylitarnej strony tego zagadnienia, to jest wartości smakowej i giełdowej mięsa poszczególnych gatunków, karygodną lekkomyślnością byłoby je rozmnażać.

Ma się rozumieć, że o aklimatyzacji egzotycznych odmian drapieżników mowy żadnej być nie może. Dostateczną posiadamy już różnorodność rodzimych odmian.

Wprowadzenie tych samych okazów, lub bliskich krewniaków z innych zakątków Europy dla odświeżenia krwi, lub otrzymania „hybrydów", nie odnosi się już do sfery aklimatyzacji.

Więc, rzecz cała redukuje się (modne dziś określenie) do działu pierzastych.

W tej materji istnieje cały katalog zupełnie nowych objektów, obytych już z naszą aurą. Poczynając od całego szeregu niehodowanych jeszcze u nas odmian bażancich, jak naprzykład „rewesi" (bażant królewski), tylko na Węgrzech w dzikim stanie przed wojną hodowanych, w Anglji i... w moich łowiskach. Świetnie tam prosperowały, tworząc nawet „hybrydy", lotne i wyśmienite do strzału.

Następnie bażant srebrny i złoty, z innemi też możnaby szczęścia spóbować. Kuropatwy czerwone, tak znakomicie nadające się do terenów skalistych, naprzykład w okolicach Ojcowa.

Oprócz tego szereg spokrewnionych z niemi „turaczów" kaukaskich, frankolinów rozmaitych — dlaczegóżby nie eksperymentować indyków skalnych? Chociaż ostatnie trudno byłoby dostać w żywym stanie. Ale zato indyki bronzowe, brazylijskie, kusaki (tinama), perliczki, liche w strzale, lecz o wyśmienitem, delikatnem mięsie...

Na ogromnych mszarnikach ziem Wileńskich, obfitujących w różnolite gatunki „hyphnum", przekonany jestem, że szkockie „grousy", tak bajecznie się rozmnażające, że literalnie podczas krótkiego sezonu padają dziesiątkami tysięcy, stanowiłyby rekordowy atut w czasach kryzysowych!...

Piszę o tem wszystkiem, nie powodując się fantazją żadną, piszę z głębokiem przekonaniem, że u nas pod tym względem możnaby dojść do fenomenalnych rezultatów i to nietylko hodowlanych, ale dających właścicielom łowisk, a przez nich całej Polsce znaczny bardzo dochód pieniężny. Ludzie zwykle obawiają się wszelkich inowacyj. Każde nowe poczynanie wydaje się takiem „niewykonalnem".

Pamiętam, co mówiono o moich próbach!

Warjat chyba — indory i pentarki po lasach rozpuszcza, jakieś nowe kuropatwy sprowadza, czyż swoich nie mamy dosyć? — et, zwykłe sobie „pańskie fantazje" — nie ma widać nic lepszego do roboty w tak ciężkich czasach klęsk finansowych. (Miłyż mój Boże! w osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia ludziska już o kryzysach języki rozpuszczali).

Tymczasem lata ubiegały, imprezy aklimatyzacyjne szły coraz lepiej i ci sami krytycy już mniej sceptycznie na wszystko poczynali się zapatrywać. No! no! — nie święci garnki lepią — mówili!



Paśnik zimowy dla ptaków leśnych.
Fot. St. Karłowski.

Posiadamy śród nas tylu wybitnych, zamiłowanych myśliwych — hodowców, chociażby, niedaleko szukając, taki Karol ks. Radziwiłł.—„Wskrzesił" dosłownie ród łosi w swojej ordynacji dawidgródeckiej. A Krośniewice Rembielińskich pod świetną „kustodją" mistrza Lazara!? A hodowle poznańskie i w szeregu zakątków kraju! Słusznie mówią Francuzi: *„il n'y a, que le premier pas — qui coute"*, później sprawa idzie „na cały regulator".

Aby tylko ktoś zaczął u nas, to — „za panią matką pacierz pójdzie gładko"! Aklimatyzacja — całą parą. A dalipan, stać się Pygmaljonem zwierzostanów ziemi naszej, nie dłutem, lecz hodowlą i aklamatyzacją Galateę ożywiając, będzie to rzecz wielka i zacna, a bardzo i intratną stać się może!... A więc?

Aklimatyzować!... osadzać!... rozmnażać!... hodować!... i jeszcze raz aklimatyzować! Dopomóż ś-ty Hubercie!

ADAM RZEWUSKI.

WSPOMNIENIA Z POLOWANIA NA WILKI W WOROPAJEWIE.

Trudno: opis bowiem moich wrażeń muszę rozpocząć od typowego zdania, które z reguły zapoczątkowują przynajmniej w 90% artykuły towarzyszy z pod znaku św. Huberta:

„Otrzymałem rano telegram".

Z zasady nie lubię telegramów. W tym urzędowym świstku papieru, gdzie obca ręka wypisała słowa i zdania, przesłane przez drut lub inny eter, zwykle (szczególnie w dzisiejszych, tak zwanych kryzysowych czasach) mieści się jakaś mniej przyjemna wiadomość. Toteż z pewną obawą go otworzyłem. Lecz w miarę czytania, złe przeczucia pryskają i zamieniają się wnet w prawdziwą radość, bo wyraźnie sylabizuję: „Wilki pewne, śnieg, przyjeżdżajcie Woropajewo".

Było to w sobotę rano. Tego samego dnia wraz z moją żoną mkniemy kurjerem w stronę Wilna. Zaopatrzeni w liczne dachy, futra i bogaty arsenał, wzbudzamy sensację na naszym zachodzie, gdyż tu ciepło i śniegu ani śladu. Pewno brano nas za nową wyprawę polarną, jadącą przynajmniej.. odwiedzić swych ziomków do „Wysp Niedźwiedzich"!

Kilka godzin w Wilnie mija, jak sen. Pierwszy raz w tem cudnem mieście, biegamy na wszystkie strony, by jak najwięcej zwiedzić, jak najwięcej zobaczyć.

Już o trzeciej siedzimy w wygodnym wagonie, który ma nas dowieźć do oddalonego od Wilna o 150 km. Woropajewa — i to przez 8 bitych godzin. Komu zależy na wypróbowaniu swoich nerwów i cierpliwości, ten niech raz w życiu spróbuje tej napozór niewinnej przejażdżki. Bo to niby się jedzie, potem czas dłuższy się cofa, a nigdy niewiadomo, czy więcej się cofa, niż jedzie, więc pole do zgadywań olbrzymie, a i okazja do zakładów wspaniała. Jedyna chyba pociecha, że jest zawsze wesoło, bo i przeróżne bydlątka ryczą, które wraz z nami jadą, to znów głośny gęgor rozbrzmiewa wesoło, a na długich i licznych przystankach podróżnik podziwia olbrzymie kłody, wożone do tartaków; jednem słowem różnorakość wielka.

A gdy już nocną porą pociąg zajeżdża na stację Woropajewo, ma się wrażenie, że przybyło się do jakiegoś innego kraju i to bardzo odmiennego od całej tej wielkiej okolicy, ciągnącej się od Wilna na wschód. Moc świateł i to elektrycznych, wielki, intensywny ruch, duże, murowane domy, kominy, praca i krzyki. Wszystko to dziwnie nie licuje z tym powabnym, a jednak tak cichym i smętnym krajobrazem nizin, moczarów i lasów, o cudnych wieczornych, błękitnych oparach, unoszących się nad temi bezbrzeżnemi przestrzeniami, kryjówką ryś, łosi, wilków i pardw, aż het pod granice Łotwy i Rosji.

Znać tu rękę gospodarza. Hr. Konstanty Przeździecki stworzył na dalekich kresach prawdziwą ostoję cywilizacji i jakieś inne, nowe, tu nieznane życie. Wszędzie znać pracę. Wielki tartak parowy ze zgrzytem połyka w swoich czeluściach olbrzymie kłody, by wyrzucić ze swego wnętrza pięknie obrobione deski. Huta szklana zadziwia ogromem budowy, olejarnie, suszarnie, szereg większych warsztatów przemysłowych — wszystko to kipi życiem i pracą. A wokoło śliczne domki robotników i administracji, mogące z powodzeniem wzbudzić zazdrość i zachwyt nawet u człowieka z dalekiego zachodu.

Typowa i jednostajna wieś kresowa inaczej tu wygląda. Chaty większe, okazalsze, lepiej budowane i każda według fantazji ozdobiona freskami, rzeźbami i sztucznemi kwiatami. Zmysł estetyczny gospodarza nawet tutaj dotarł i z powodzeniem zwalczył ten tak swoisty i konserwatywny styl tamtejszego chłopa.

Liczne sanki i służba porywają gości i za chwilę przez jasno oświetloną bramę wpadamy do parku, by z fantazją zajechać przed pałac, gdzie oczekuje nas na progu najmilszy z gospodarzy.

U kresu wędrówki, dopiero teraz zdaję sobie sprawę z wielkości naszej Rzeczypospolitej. Duma napawa serce, że tylko ręka polska mogła wnieść w te moczary i lasy cywilizację, i smutno patrzy się na wschód, gdzie tyle jeszcze polskiej ziemi, polskich domów o pięknych tradycjach i pracy wielkiej, pozostało poza kordonem.

A przecież wszystko tutaj zostało podczas zawieruchy wojennej okrutnie niszczone i zrównane z ziemią; a jednak miłość i przywiązanie do tego polskiego kraju w najcięższych warunkach potrafiły stworzyć nowe życie i nową pracę, opartą na gorącej miłości do tych kresów o dziwnym, niepojętym czarze i uroku.

Znam trochę świata. Jako myśliwy włóczyłem się po różnych krajach. Karpaty były dla mnie szczytem piękna i emocji myśliwskich. Afryka przejmowała mnie dreszczem przygód i niebezpieczeństw, ale przyznam się szczerze, że, będąc po raz pierwszy na naszych kresach wschodnich, doznałem uczucia zupełnie nowego, dziwnego i bardzo silnego. Ot, pokochałem te równiny od pierwszego wejrzenia, od chwili, kiedy z okien wagonu patrzyłem na te moczary, na te niskie, rzadkie lasy, a kraj ten równy, tak wszędzie podobny do siebie, tak dziwnie pociągający, stał mi się odrazu i bliskim i drogim.



Stanisław hr. Mycielski z żoną po szczęśliwym miocie w Woropajewie.

Już tego samego wieczora dowiadujemy się, że wilków dużo. Jutro rano o świcie tropienie. Fladry przygotowane, i kto wie czy nie zabrzęczy telefon z nadleśnictwa, by natychmiast w miot wyruszyć.

Przemęczony 48-miogodzinną jazdą, byłem przekonany, że spać będę, jak suseł, aż tu nagle około drugiej w nocy zrywam się z łóżka, zbudzony przeraźliwym wyciem dwóch wilków i to pod samemi oknami. A wilki wyją, jakby przybyszowi chciały swój repertuar zaprezentować. Więc jeden głos, poważny bas, monotonnie podaje ton, drugi, silniejszy sopran, wyjeżdża, jak wielki lament, gdzieś hen, ponad gwiazdy. Bas zmienia się w baryton, tenor, łączy się z sopranem, tworząc razem przejmujący, niesamowity skowyt, gdzie ból i skarga dwojga istot przewodnią jest myślą i melodją.

To oswojona para wilków gospodarza, mająca swój okólnik tuż obok domu, chciała się widać pochwalić przed gościem z zachodu i uprzyjemnić mu długie nocne godziny. Z rozkoszą wsłuchuję się w wycie tych wspaniałych zwierząt, a stwierdzić mogę, że lament płaczliwy i ta jakaś wielka skarga, rzucana w bezmiar tutejszych moczarów i lasów, dziwne i poważne wywiera wrażenie.

Upojony tą niesamowitą muzyką, słodko zasypiam, by zerwać się rano na głos gospodarza, który przez drzwi oznajmia, że dwa wilki otropione i że za 10 minut wyjeżdżamy.

Piękny, mroźny dzień napawa nas radością. Kilkoro sanek filigranowych, o ślicznych kształtach, za chwilę poniesie nas w knieje. Konie raźno parskają — ostatni rzut oka na strzelby — i, owinięci w dachy, długim sznurem, wesoło i pełni nadziei odjeżdżamy z przed domu.

Wiozę z sobą mój podwójny sztucer 8 mm., oraz broń śrutową. Mam zamiar strzelać wyłącznie kulami, ale gospodarz słusznie radzi mieć pod ręką i loftki, bo w niektórych miotach strzał kulą z powodu wielkiej gęstwiny jest niemożliwy.

Szybkiem tempem, wyborną sanną przewijamy się przez wsie i pola, by niebawem wpaść w las, otulony w swą śnieżną szatę. Kręta, wąska drożyna wije się przez gąszcze, by nagle urwać się za zakrętem i wyrzucić nas na dużą polanę, gdzie obok leśniczówki czeka zebrana służba leśna wraz z nadleśniczym, p. Sawickim na czele. Krótki raport, komendy, wychodzimy z sanek i już piechotą, w ciszy największej, dochodzimy do miotu. Zdala go już poznaję, bo między drzewami migają zdradzieckie sznury i przyczepione do nich kolorowe szmatki.



Stanisław hr. Mycielski z żoną i cenną zdobyczą na polowaniu w Woropajewie.

Mnie przypada stanowisko w samym środku miotu. Rozglądam się i rozpacz mnie ogarnia. Gąszcz zwarty z przodu, tosamo poza mną. Możliwość strzału jedynie na wąskiej, krętej drożynie, na której stoimy, i to na kilka kroków tylko. O strzale kulą mowy być nie może. Odkładam sztucer i z rezygnacją biorę dubeltówkę. Jednak po dokładnem rozpatrzeniu sytuacji przekonuję się, że przedemną naprawo w jednem miejscu gąszcz nie tak bardzo zwarty, więc, o ileby zwierz tamtędy właśnie przeszedł, to zoczyć go muszę, taksamo nalewo: mała szczelina pozwoli strzał zaryzykować.

Chyba każdy z braci myśliwych, stający na stanowisku na grubego zwierza, poznawszy teren, w duchu sobie mówi: „tutaj powinien wyjść", „tam go strzelę" etc. etc. Taksamo ja dochodzę do przekonania, że gdybym tylko zwierza zoczył w pierwszej luce, a on kierował się w stronę drugiej, to właśnie w tej drugiej luce, już gotowy do strzału, pociągnąłbym za cyngiel. Moja żona za mną trzyma w pogotowiu drugą strzelbę. Ja za grubym dębem zamieram w bezruchu. Okiść, strącona lekkim powiewem, ledwo dosłyszalnym szelestem przerywa ciszę. Wtem daleko w ostępie trąbka, kilka strzałów i — znów ta wielka, tajemnicza cisza. Lecz cisza to pozorna, bo w tej samej chwili zaczynają się dziać ze mną dziwne rzeczy. To już nie emocje, tak drogie każdemu myśliwemu, ale jakieś furje roznoszą moje serce i nerwy. Strzelba dygocze, jak osika, porwana silnym orkanem, jakaś machina parowa tłucze się w piersi i to tak głośno, że ostęp chyba cały musi ten łomot słyszeć. Takich emocyj w życiu nie miałem, chyba gdym pierwszy raz zoczył w całej swej wspaniałości króla zwierząt, lwa!

Potrochu, siłą woli opanowuję rozszalałe nerwy i, gotowy do szybkiej decyzji, wpatruję się w zbawienną lukę. Nie upłynęło minuty, gdy wielki, płowy cień przewalił się jednym susem przez pierwszą lukę a z chwilą, kiedym go powtórnie zoczył, strzeliłem. — Cisza, jak gdyby jeszcze większa po łomocie i huku, i znowu ta dziwna i tajemnicza machina wali gdzieś głęboko w piersi. Lecz strzał po prawej stronie wraca mi przytomność, zdala słychać już hukanie naganki. Zwracam się do mojej żony z niemem pytaniem. Ramiona mojej Pani wznoszą się w górę i opadają ze znakiem niepewności. Ten przeklęty gąszcz nie pozwala na najmniejszy domysł. Pociesza mnie jedyna myśl, że mój sąsiad (miły dyplomata) ani nie drgnął po moim strzale, a wilk sadził z ukosa, prosto na niego. Więc albo cofnął się raptownie i przebił przez nagankę, albo — leży.

Naganka już blizko. Ciemne postacie przebijają się przez gęstwinę, za chwilę przedzieram się w kierunku strzału. Wielka, stara wilczyca leży bez życia. Nadchodzi gospodarz — gratulacjom, opowiadaniom końca niema. Pierwszy mój wilk, strzelany loftkami na 25 kroków, padł, jak gromem rażony. Po dokładnem zbadaniu okazało się, że jeden tylko śrut był śmiertelny, a to przy nasadzie karku, drugi musnął po tyle. Dowód to niezbity, jak bardzo grube loftki nawet na mały dystans rozsypują. Nieraz wilk może wyść cało z opresji, po dobrym nawet strzale, gdyż obliczenie jest tu wykluczone. Mam wrażenie, że gruby śrut Nr. 1. albo 0. lepiej spełniłby swe zadanie od tak zwanych loftek.

W tym samym miocie duży wilk prawą flanką sunął ukradkiem wzdłuż sznurów, ocierając się formalnie o nie. W kilka sekund po moim strzale susem przesadził wąską linję i znikł w gąszczu. Stary to musiał być wyga i mądrym fortelem uniknął niebezpieczeństwa, w podziw wprowadzając myśliwego, który w beznadziejnej sytuacji posłał mu swój strzał już na daleki dystans.

*

Na drugi dzień rano znów pomyślny raport: 3 wilki zaległy w ostępie, oddalonym od domu o 28 km. Toteż wcześniej wyjeżdżamy, otulając się w najgrubsze futra, bo oprócz silnego wichru termometr wskazuje 18 stopni zimna.

Długim sznurem wiją się liczne sanki i po 3-godzinnej jeździe zbliżamy się do miotu, gdzie wilki, nie bacząc na niebezpieczeństwo, śpią sobie snem sprawiedliwych. Otrzymuję miejsce flankowe, widzę dobrze wiszące szmatki, które dziwne harce wyprawiają, porywane silnym wiatrem. Lecz z rozkazu gospodarza przeniesiony zostaję o jakieś 40 kroków nalewo, oddalając się już znacznie od sznurów.

Naganka już ruszyła. Znowu mam broń śrutową. Gąszcz nie tak wielki, ale łozy dosyć gęste w tem miejscu. Cienkie ich gałązki to odwieczny wróg strzału kulą. W kilka minut po sygnale zdala widzę ogromnego wilka, który w wspaniałych lansadach sadzi tuż przy sznurach. W chwili, kiedy drożynę prze-

skakiwał, strzelam dwa razy — wilk silnie markuje, zatacza półkole i w wolniejszem tempie znika mi z oczu. Nie mam czasu ochłonąć z przeżytych emocyj, gdy słyszę suchy trzask. To mój sąsiad dwukrotnie, bezskutecznie pociągnął za cyngiel, mierząc do dużej wilczycy, która o kilka kroków od niego przeszła przez linję. To już prawdziwy pech mieć dwa niezapały i to do wilka.

Natychmiast po miocie lecę na miejsce strzału. 80-kilka kroków to dużo, jak na loftki. Gdybym był stał na swojem pierwszem stanowisku, strzał byłby łatwy i bliski. Kilka kroków poza linją — dużo dobrej farby. Gospodarz pozwala mi iść z dwoma gajowymi za tropem, a że to jedyny miot w tym dniu, więc czasem nie jestem skrępowany. I zaczęła się ta cudowna wędrówka po świeżym śladzie i to za farbą grubego zwierza. Miejscami farby dużo; to znów kilka kropel, ale czerwona nić wyraźnie ciągnie się wśród bieli. Trzy godziny trwała ta wędrówka za tropem, trzy godziny przedzierałem się przez gąszcze i zwaliska, zapadałem się po ramiona w wykroty, zasypane śniegiem, aż wreszcie u kresu sił dałem za wygraną. Leśnicy trąbkami starają się przywołać sanki, ja, odpoczywając na zwalonym pniu, z żalem patrzę na ten w dali znikający trop. Leśnicy pocieszają mnie, że wilk w nocy zalegnie i rano go dostaną. Ja straciłem nadzieję, gdyż mimo silnej farby wilk szedł coraz równiej i coraz większemi susami. Na dobitek śnieg zaczyna prószyć i z pierwszemi płatkami tracę nadzieję dowiedzenia się nawet o losie mojego drugiego wilka. Po godzinie niepokalana biel otuliła woropajewską knieję, zazdrośnie kryjąc w swem sercu tajemnicę biednego wilka, który spotkał się z odwiecznym swym wrogiem, człowiekiem.

*

I trzeci dzień łowów obfitował w wielkie emocje. Trzy wilki otropione. Ostęp ofladrowany czeka na myśliwych. Stanowisko mam w środku, po lewej stronie stoi moja żona. Nareszcie wymarzony miot, rzadka drągowina, szeroka linja i widok na 200 kroków w głąb. Mam w ręku sztucer, żonie oddałem broń śrutową.

Jeszcze naganka nie ruszyła, gdy bardzo daleko, trochę po lewej stronie mignął się ciemny punkt. Raz, drugi, trzeci i serce zaczyna walić, jak taranem i coraz dokładniej rozpoznaję dużego wilka, idącego bardzo wolno wprost na moją żonę. Widok to był wspaniały, jak ten dziki zwierz, ruszony przedwcześnie, przez zachodzącą nagankę, badał podejrzany teren, stawał, wietrzył, rozglądał się na wszystkie strony i coraz częściej zwracał się w głąb kniei, skąd dochodzące dziwne i wrogie szmery go drażniły, szmery tylko dla niego dosłyszalne, bo bór był cichy i jakby zamarły.

Widzę go coraz lepiej, gdyż szybciej się porusza. O ile nie zmieni kierunku, to powinien przejść między moją żoną, a jej lewym sąsiadem. Z zapartym oddechem, ściskając mój wierny sztucer, obserwuję tę cudowną scenę. Widzę, że moja żona także oddawna obserwuje wilka. Podziwiam jej wielki spokój i opanowanie, jak wolno, nieznacznym ruchem podnosi broń do oka i trwa tak bez ruchu. Wilk coraz bliżej— i nagle grom przerywa poważną ciszę. Czekam złożony i przez sekundę wzdycham do św. Huberta, by strzał był skuteczny, lecz szybko po sobie następujące dwa strzały sąsiada mej żony dobitnie mnie zapewniają, że wilk jeszcze idzie i nie został w ogniu po strzale mej Pani. Nagle duże wilczysko potężnym susem przesadza drogę. Puszczam w pośpiechu pierwszą kulę i czuję, żem szpetnie spudłował. Spokojniej już wybrałem lukę w drągowinie i już bez nerwów strzelam powtórnie. Po strzale zwierz zginął mi z oczu. Dopiero teraz odzywa się trąbka sygnałowa. Jeszcze podobno dwa wilki były w miocie. Ale, widocznie spłoszone, wcześniej wyniosły się z ostępu, a ten widziany i strzelany, to najpewniej ostatni z rodziny, śpioch może wielki, który przenosił poobiednie wywczasy nad niepotrzebne i nieplanowe spacery, w tak dziwnych godzinach odbywane.

Po skończeniu miotu szybko podążam do mojej żony, która z dumą pokazuje mi silną farbę w miejscu jej strzału. Wilk po strzale nagle skręcił wlewo, a spłoszony nieszkodliwemi strzałami sąsiada, przesadził przez drogę.

A co się z nim stało? — pytam zaciekawiony. „Leży" — odpowiada moja Pani, ale szybko dodaje: „Wilk jest mój, bo po moim strzale zafarbował i był już ciężko ranny, gdyś ty do niego strzelał, a przy grubym zwierzu pierwszy tylko strzał jest ważny itd. itd. itd.".

Pędzę poza miot, gdzie po kilkunastu krokach spostrzegłem ogromnego, starego wilka, leżącego bez życia. Zaczynamy go dokładnie oglądać. Łatwo było zgadnąć, czyj strzał był śmiertelny. Ekspanzywna kula przebiła łopatkę, wyrywając dziurę na dwie dłonie. I teraz zaczyna się ciekawa sytuacja. Przez dobre pół godziny szukamy śladu loftki. Przecież dobrze farbował po strzale mojej żony, a na miejscu strzału farba bryznęła rzetelnie. Po dobrej chwili tajemnica została wyświetlona. Przypadkiem otworzyłem kurczowo zaciśnięty pysk. Biedny wilk! Jedna loftka przeszyła język i wybiła przedni, duży kieł. Stąd obfita farba, no i wściekłość biednego zwierza, który chyba nigdy nie przypuszczał, że na nim kiedyś wykonają tak przykry zabieg dentystyczny.

*

Niestety, wszystko na tym świecie kończyć się musi, więc i wyjeżdżać trzeba, by wrócić do siebie, do swoich codziennych spraw i zajęć. Smutno opuszczać tę cudną knieję, smutno żegnać się z najmilszym i tak gościnnym gospodarzem. Żegnaj, Woropajewo, gdzie spędziliśmy tak pogodne i piękne chwile. Do widzenia.

Ale jeżeli, Gospodarzu miły, przypadkiem przeczytasz te krótkie wspomnienia, to zechciej uwierzyć w wielką i serdeczną wdzięczność autora.

STANISŁAW MYCIELSKI.

Z WABU ŁOSI W DOBRACH RZEPICHOWSKO-CHOTYNICKICH.

Tego roku w dobrach Rzepichowskich hr. Jarosława Potockiego, zawdzięczając miłemu zaproszeniu gospodarza, polowało na łosie na wab czterech jego gości: p. gen. Fabrycy, p. Kiltynowicz, hr. Cieński i ja. Trzech, biorących udział w tem niezwykłem polowaniu, mianowicie pierwsi dwaj panowie i ja, powrócili z trofeami, jedynie hr. Cieński, który wcześniej nas opuścić musiał, nie doszedł do strzału, niewiele jednak brakowało, by i on z trofeami powrócił. Nie chcę tu opisywać tych niesamowitych wrażeń, jakich tam doznawałem; powiem tylko, że, jako myśliwy, podobnych emocyj nigdy jeszcze nie przeżyłem. Wielka gościnność gospodarza temwięcej uprzyjemniała nam pobyt i nie naszą jest zasługą, że tak wspaniałym rezultatem zakończyło się tegoroczne polowanie. Przedewszystkiem jest to zasługa gospodarza, który troskliwą opieką w swych łowiskach doszedł do tak wspaniałego zwierzostanu. Temu tematowi właśnie chcę tu kilka słów poświęcić.

Każdy myśliwy, interesujący się łosiem, wie dobrze, jak trudno i z jakim nakładem pracy można uchronić łosia od ostatecznej jego zagłady. Niewiele brakowało, by w Polsce łoś podzielił los żubra. Aczkolwiek dużo się już zrobiło i mówi się o tem, że nie-

bezpieczeństwo minęło i łoś znów ma wszelkie szanse do rozmnożenia się, to jednak to, cośmy widzieli w Rzepichowie, przeszło nasze oczekiwania.

Warunki naturalne są w Rzepichowszczyźnie dla tego, tak rzadkiego zwierza pierwszorzędne. Uprzytomnijmy sobie położenie terenu: jest to połać kraju, ograniczona od północy linją rzeki Myszanki, wsi Tuchowicze, Lipsk, Rzepichów, ciągnącą się w kierunku wschodnim do linji kolejowej Baranowicze-Łuniniec; od wschodu — tąż linją kolejową, zaś od południa linją od stacji Malkowicze poprzez Chotynicze, Rozdziałowicze, Wygonoszczę; od zachodu jeziorem Wiadotupickiem. Przestrzeń ta należy z niewielkiemi wyjątkami do dóbr Rzepichowsko-Chotynickich; powierzchnia jej wynosi przeszło 600 klm² i zamyka w sobie jezioro Wygonowskie. Na całej tej przestrzeni znajdują się zaledwie 2 wioski: Święcica i Nowosiółki i niewielka ilość pojedyńczych zagród włościańskich.

W wymienionych wsiach, na granicach tej olbrzymiej przestrzeni, rozmieszczona jest stosunkowo gęsto straż leśna ,pilnie przestrzegająca, by nikt niepowołany nie włóczył się po lesie. Likwidowanie serwitutów ułatwi to zadanie, nic więc dziwnego, że na całej tej przestrzeni panuje spokój, którego przedewszystkiem potrzebuje łoś. Wschodnia część tej połaci ziemi jest suchsza, przeważnie pokryta iglastym lasem, zachodnia zaś — bagnista — porosła brzozą i olchą. Na łąkach, wzdłuż rzek i kanałów rośnie gęsto łoza wśród wysokich trzcin i traw. Części łąk nie wykasza się, dając w ten sposób łosiowi doskonałe warunki paśnikowe. Mogą więc łosie w takich warunkach znakomicie się rozwijać, a ponieważ w dodatku niemało na tej przestrzeni podczas zimowych polowań tępione są wilki (w ostatnim roku zabito 11 sztuk), stan tego zwierza poprawia się znakomicie.

Dotychczas główną ostoją łosi było leśnictwo Tuchowickie, ciągnące się między rzekami Szczarą i Myszycą. Tamtejszy leśniczy, pan Bocheński, starszy już, ale pełen siły, całą swą energję poświęca opiece łosia. Opowiadał mi, jak często po nocach uganiał się z gajowymi za kłusownikami i jak stopniowo udało mu się ich unieszkodliwić. W tem leśnictwie właśnie polowaliśmy i mieliśmy możność osobiście się przekonać, że trudy poświęcone łosiom dały już swój plon. Proszę to osądzić z krótkiego dzienniczka odbytego polowania.



Pan Stefan Steinhagen z kapitalnem, rzadkiem trofeum z rykowiska łosi w dobrach Rzepichowsko-Chotynickich.

7.IX. Pan gen. Fabrycy zabił swego byka. Ja słyszałem dwa.

9.X. Hr. Cieński miał zwabionego łosia nie dalej, jak na 50 kroków, do strzału jednak dojść nie mógł z powodu wielkiego gąszczu, z którego byk wyjść nie chciał.

10.IX. Wieczorem wabiły się 2 byki koło p. Kiltynowicza, 3 byki niedaleko mnie.

11.IX. Rano widziałem wspaniałego byka, do strzału jednak dojść nie mogłem. W godzinę później o kilometr dalej padł mój byk.

Wieczorem hr. Jarosław Potocki wyszedł do lasu i miał byka na strzał.

12.IX. Wieczorem p. Kiltynowicz upolował swego byka.

Załączone fotografje uzupełniają resztę.

Mam wrażenie, że leśnictwo, o którem mówię, jest tak dobrze obsadzone, że łosie wychodzą już z tego rewiru i raz po raz zdarzają się meldunki gajowych o pojawieniu się łosi w stronach, gdzie ich od czasu wojny nie widziano.

Również, sądząc z meldunków gajowych, przestrzeń na południe od Szczary, po obu stronach kanału Ogińskiego, jest dobrze obsadzona łosiami. Tam to polowano w roku ubiegłym i, aczkolwiek widziano dużo tropów i załomów, z powodu jednak zbyt ciepłej pory, łosie zwabiać się nie dawały.

Byk, który padł od kuli p. gen. Fabrycego nie dał myśliwemu pełnej satysfakcji, poroże jednak świadczy, że był to typowy badylarz o 7 pasemkach i nienormalnej formie. Jako taki, lepiej, że został odstrzelony.



Pan Witold Kiltynowicz ze swem wspaniałem trofeum z rykowiska łosi w dobrach Rzepichowsko-Chotynickich.

Byk P. Kiltynowicza o wspaniałych łopatach, ma rozpiętość poroża 103 cm i posiada na jednej łopacie 7, na drugiej 8 pasemek.

Łopaty mojego byka są zarówno w wielkości, jak w formie i kolorze wspaniałe. Na obu łopatach ma po 6 długich pasem, na jednej dodatkowo zaznaczone jest małe 7-me pasemko. Rozpiętość największa od trzeciego do trzeciego z góry pasemka — 133 cm. Wysokość największa 93 cm. Szerokość samej łopaty prawej od 16 do 18 cm., lewej od 18 do 20 cm.

Nie mając w lesie miary, zmierzyłem byka kijem, służącym mi za podpórkę, na którym zaznaczyłem wszystkie wymiary. Okazały się po ostatecznem wymierzeniu w leśniczówce następujące:

Łeb od chrap do róży — 55 om, od róży do miejsca zaznaczenia ogona — 219 cm. razem 274 cm. Od garbu zaś do końca przednich kopyt miał 191 cm. Ponieważ powinno się mierzyć wysokość łosia do pięty, to miara ta skróca się o 15 cm. i wynosi 176 cm. Całkowita długość skóry od chrap do miejsca zaznaczenia ogona 291 cm. Brodę miał mój byk krótszą, lecz szerszą, niż byk p. Kiltynowicza. Wszystko to świadczy, że na odpowiednim terenie i przy należytej opiece można u nas dojść w hodowli łosia do wspaniałych rezultatów.

Niech mi wolno będzie na tem miejscu złożyć serdeczne podziękowanie gospodarzowi, za tak gościnne przyjęcie i wspaniałe polowanie, które mi w pamięci na zawsze pozostanie. Życzę, by trudy jego dały jak najobfitsze owoce i przysporzyły chwały naszemu łowiectwu.

STEFAN STEINHAGEN.

UWAGI PRAWNICZE.

Niniejsze uwagi nie zajmują się wypowiadanemi przez autora artykułu „Jeszcze w sprawie ochrony drapieżników" dezyderatami odnośnie kierunku, w jakim ma iść prawodawstwo łowieckie, lecz mają za cel jedynie poddać rozważaniu przeprowadzoną przez autora interpretację poszczególnych norm i przepisów prawnych.

Każdy przedmiot czy to ruchomy, czy nieruchomy stanowi majątek w rozumieniu prawa cywilnego.

Majątek niekoniecznie musi należeć do określonego człowieka, t. j. stanowić „mienie człowieka". Są majątki bezpańskie, które stanowią własność publiczną. Za takie, bezpańskie, nie można uważać, jak zdaje się stara się tego dowieść autor, niedźwiedzi, wilków, lisów, palumbarjusów, gdyż według prawa zwierzyna jest własnością właściciela ziemi, na której ona przebywa, lub nad którą przelatuje. Na taką zwierzynę właściciel gruntu lub uprawniona przezeń osoba może polować z ograniczeniami, ustalonemi w prawie łowieckiem co do gatunków zwierzyny, czasu i sposobu polowania.

Ograniczenie prawa polowania na pewne gatunki zwierzyny nie stoi w sprzeczności z zasadą konstytucyjną, iż państwo poręcza obywatelowi ochronę jego mienia. Zasada ta ma na widoku ochronę prawną mienia przed zamachami na nie ze strony innych obywateli. Nie może natomiast państwo ręczyć obrony mienia przed siłami przyrody, bo przed niemi obywatel musi sam bronić swego mienia w granicach, dozwolonych przez prawo i w tych granicach częstokroć interesy osobiste muszą ustępować przed interesami ogólnemi.

Naprzykład, skonstatowano, że roślinność przy drogach, któremi kursują autobusy benzynowe, niszczeje. Z tego nie wynika, iżby właściciel sadu lub ogrodu, położonego przy jednej z takich dróg, miał prawo domagać się zaprzestania po takiej drodze ruchu autobusu. W tym przypadku interes prywatny musi ustąpić przed interesem publicznym i właściciel sadu lub ogrodu, jeśli się chce uchronić od przenikania gazów spalinowych na jego terytorjum, to musi to czynić wyłącznie własnym kosztem i staraniem *). Taksamo i właściciel, któremu, jak zaznacza autor, drapieżniki niszczą zwierzęta domowe, zmuszony jest do ochraniania tych zwierząt, lecz nie mógłby tępić drapieżników, o ile te ostatnie byłyby ochraniane przez prawo w celach interesu publicznego.

Czy prawa tego nie należałoby zmienić w projektowanym przez autora sensie, t. j. przez urządzenie rezerwatów dla drapieżników, poza któremi tępienie drapieżników byłoby dozwolone, — to inna kwestja, nadająca się do ustawowego rozstrzygnięcia.

Nie można natomiast twierdzić, jak to czyni autor, że ustawowa ochrona drapieżników stoi w sprzeczności z ustawą konstytucyjną, gdyż, jak to już zaznaczono poprzednio, państwo, według konstytucji, poręcza obywatelowi ochronę jego mienia przed zamachami współobywateli, a ochronę fizyczną swego mienia obywatel musi uskuteczniać sam w granicach przepisów prawnych.

Mylnie twierdzi autor, że z chwilą ogłoszenia rozp. Prez. Rzeczp. z dn. 11.VIII.32 r. (Kodeks Karny) powstały wątpliwości *prawne* co do własności zwierzyny, znajdującej się w czyimś obwodzie łowieckim.

Przytoczone przez autora przykłady takich wątpliwości stwierdzają, iż są to wątpliwości „obywatelskie", nie zaś „prawne".

Domniemane wątpliwości *prawne* wynikają z tego, że autor, jak się zdaje, przypisuje artykułowi 270 K. K. znaczenie sankcji karnej dla zakazu polowania od zachodu do wschodu słońca, znajdującego się w art. 47 prawa łowieckiego. Art. 47 pr. łow. posiada swą sankcję karną w p. 5 art. 76 pr. łow., przewidującym grzywnę do 200 zł. lub areszt do 4 tygodni albo obie te kary łącznie na każdego, kto poluje od zachodu do wschodu słońca, bez różnicy, czy jest to właściciel lub dzierżawca polowania, czy też kłusownik. Art. natomiast 270 K. K. zabrania naruszenia *cudzego* prawa polowania, karząc czyn taki aresztem do roku lub grzywną (grzywnę według K. K., wymierzyć można w wysokości od 5 zł. do 200.000 zł.). Z tego wynika, że kłusownik, przyłapany na polowaniu między zachodem a wschodem słońca, karany będzie łącznie z art. 270 K. K. i z art. 76 pr. łow., czyli, w myśl art. 31 K. K., kara za te dwa przestępstwa nie może być niższa od aresztu 4-tygodniowego, lub od grzywny w kwocie 200 zł., lecz według uznania sądu może być wyższa.

Tymczasem właściciel lub dzierżawca polowania — za polowanie w nocy będzie karany tylko z art. 76 pr. łow., t. j. aresztem do 4 tyg., lub grzywną do 200 zł., albo obu karami łącznie.

Na niczem zatem nie jest oparte twierdzenie autora, iż przez wprowadzenie art. 270 K. K. „zrobiono różnicę co do własności zwierzyny *w czasie jej ochrony* i w czasie możności polowania na nią", z czego rzekomo można przypuszczać, iż zwierzyna w nocy przestaje być własnością właściciela lub dzierżawcy polowania, a to „z uwagi na zakaz polowania" w nocy.

Zarówno konkluzja — zupełnie dowolna.

Zwierzyna żywa, jak i martwa, znajdująca się na pewnym terenie, zawsze należy do właściciela tego terenu. Potwierdza to art. 84 pr. łow., w myśl którego nawet zwierzyna, zabita w czasie ochronnym, niezależnie czy zabił ją kłusownik, czy sam właściciel lub dzierżawca prawa polowania, należy zawsze do właściciela terenu, a to zgodnie z art. 552 K. C. i z odnośnemi innemi przepisami praw cywilnych, obowiązujących na terenie Rzeczypospolitej Polskiej.



Łoś dyr. M. Hofmana, ubity w Puszczy Wiadotupickiej. (Rozpiętość poroża 103 cm).

Wyjątek stanowią jedynie przypadki zabicia zwierzyny, na którą wogóle polować nie wolno, lub zwierzyny, zabitej w czasie ochronnym czy też nocą, o ile zwierzyna taka zabita została na gruntach, nie wchodzących w skład obwodu łowieckiego. W tych wypadkach zwierzyna zabita nie należy do właściciela gruntu, lecz ulega konfiskacie na rzecz zakładów dobroczynnych.

Przepis ten odpowiada ogólnej tendencji prawa łowieckiego, aby polowanie było wykonywane tylko w zarejestrowanych obwodach łowieckich, t. j. na terenach nie mniejszych od 100 ha ciągłej powierzchni,

*) Redakcja jest odmiennego zdania.

gdyż polowanie na powierzchniach mniejszych grozi zwierzostanowi. Zrozumiałą jest zatem rzeczą, że groźba konfiskaty zwierzyny, zabitej na niezarejestrowanych terenach pobudzi właścicieli tych terenów do zgłoszenia ich, jako obwody łowieckie, jeżeli zaś są to powierzchnie mniejsze od 100 ha — do połączenia ich z sąsiedniemi gruntami, celem utworzenia obwodu łowieckiego wspólnego.

Z przytoczonego samo przez się nasuwa się odpowiedź na podniesione przez autora wątpliwości, jak nazywać polujących nocą.

Taki polujący, o ile jest właścicielem lub dzierżawcą polowania, jest, według nomenklatury autora, „gentlemanem, który tylko tem grzeszy, że nie respektuje ulegalizowanych norm prawidłowego polowania", polujący zaś nocą na cudzym gruncie jest, według tejże nomenklatury, „złodziejem".

Zupełnemu zaś pomieszaniu pojęć należy przypisać konkluzję autora, że „stwierdzono, iż prawo obecne nie ochrania zwierzyny, lecz tylko prawo polowania". W rzeczywistości jest inaczej. Mianowicie, prawo łowieckie — jest ustawą, regulującą gospodarstwo łowieckie. i ma na celu ochronę zwierzostanu w państwie. Kodeks zaś karny (art. 270) ma na celu ochronę prawa własności w dziedzinie łowiectwa i broni prawa polowania poszczególnych myśliwych przed zamachem na nie wrogów prawa własności.

W wyniku tych licznych wątpliwości, jakie się autorowi nasuwają przy próbach interpretacji przepisów K. K. i prawa łowieckiego, dochodzi jednakże autor do słusznego wniosku, „że prawo polowania stanowi z prawem własności zwierzyny nierozdzielną całość", i aczkolwiek nie jest autor pewny, czy istnieje ustalona judykatura w tej kwestji, gdyż nie są mu wiadome odnośne uchwały „Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości", można przypuszczać, iż dlatego odnośne sprawy nie dochodziły do Sądu Najwyższego, że przepisy w tym względzie są dla prawników zupełnie jasne i, przypuszczać należy, iż żaden adwokat nie podjąłby się popierania przed najwyższemi instancjami sprawiedliwości tez podobnych do tej, iż zwierzyna nocą przestaje należeć do właściciela gruntu.

Niezrozumiałym także jest wstęp artykułu, w którym autor traktuje o wynikającym z art. 55 pr. łow. obowiązku płacenia odszkodowania za szkody, wyrządzone przez zwierzynę, „posiadaczowi tej ziemi, która wchodzi w skład obwodu łowieckiego", gdy w rzeczywistości powołany artykuł nakłada na właściciela obwodu łowieckiego obowiązek wynagradzania szkód, wyrządzonych „w uprawach i plonach rolnych", niezależnie od tego, czy uprawy te były dokonane w obrębie obwodu łowieckiego, lub czy plony pochodzą z obwodu łowieckiego.

H. Z.

JESZCZE JEDEN SPOSÓB.

W numerze 29 „Łow. Pol.", p. Wł. Zabiełło w artykule p. t. „Byłby sposób" proponuje, aby sołtysów wiejskich zamianować strażnikami przysięgłymi, w celu skuteczniejszego tępienia kłusownictwa i wnykarstwa. Nie wiem jakby się na tę sprawę zapatrywały władze, myśl tę jednak uważam za szczęśliwą*). Sołtys - strażnik przy dobrych chęciach mógłby oddać duże usługi, przy złych — w żadnym wypadku by nie zaszkodził.

Mnie nasunął się jeszcze jednen sposób, który przedstawiam Sz. Zarządowi i wszystkim kolegom delegatom.

Obowiązki i zadania nasze, delegatów powiatowych łowieckich są niewielkie, a możnaby je kolosalnie zwiększyć, przez nadanie nam prawa legitymowania myśliwych i ewentualnie odbierania broni (bezpośrednio lub z pomocą policji) właścicielom nielegalnym, przynajmniej w rejonie własnych powiatów. Słyszę od innych, a sam miewam często takie zdarzenia, że jadąc w swojej okolicy, napotykam na przydrożnych polach na nieznane indywidua, myszkujące ze strzelbą w ręku. Jeśli rzecz ta się nie dzieje na moim terenie, oczywiście nolens - volens przymykam oczy i jadę dalej. Mając prawa, o których właśnie wspominam i jakąś odznakę urzędową, mógłbym już ja, czy też inny na mojem miejscu, w wypadkach podobnych reagować. Każdy, kto chociaż raz jeden tropił kłusownika, wie dobrze, ile to kosztuje cierpliwości, sił, zdrowia i czasu, gdy całemi godzinami przyczajonym siedzieć trzeba w lesie lub w polu, dniem lub nocą, w mróz i wiatr. I cóż z tego za rezultat?... — oto tak rzetelnie „wypracowany" kłusownik, w szczęśliwym wypadku spotkania, strzela do prawnego właściciela terenu, albo ucieka, odstrzeliwując się po drodze. Szanse tropionego są zawsze większe od tropiącego. Kłusownik, złapany na gorącym uczynku i oddający dobrowolnie broń, należy do rzadkości, których jeszcze nie widziałem.

Starostwa, naznaczając z kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców powiatu dwóch lub trzech delegatów łowieckich, mają możność wybrać sobie kandydatów godnych zaufania, a ze względów formalnych należałoby ich zaprzysięgać i byłby to jeszcze jeden sposób więcej dla walki z tępicielami naszej umiłowanej zwierzyny.

Ilość delegatów możnaby zwiększyć, naznaczając jednego na każdą gminę. W moim powiecie (Płońsk) jest nas tylko dwóch i przy opinjowaniu o nadawanie kart łowieckich niemożliwością jest orjentować się dostatecznie.



Dwunastak, ubity przez Karola hr. Potockiego w Parzymiechach, pow. Częstochowa.

Nie wiem czy projekt mój trafi do przekonania Sz. Zarządowi i kolegom delegatom, gdyby jednak tak było, należałoby wszcząć odpowiednie kroki u miarodajnych czynników. Słusznie zauważa pan Wł. Zabiełło, że policja jest przeciążona pracą, radzimy więc sobie sami, bo kłusownictwo i wnykarstwo rozgałęzione jest okropnie, a niestety 50% wyroków sądowych tylko rozzuchwala przestępców.

ANTONI TARNOWSKI, jr.

*) Zapatrywanie to podzielił Zarząd Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia P. Z. S. Ł., który na posiedzeniu z dnia 20.X.33 (vide protokół w niniejszym numerze „Łowca Polskiego") uchwalił zwrócenie się w tej sprawie do pp. wojewodów. *(Przyp. red.)*.

CZESKA KYNOLOGJA W UBIEGŁEM DZIESIĘCIOLECIU.

Dzięki niespożytej energji i nieustannym zabiegom, niestety przedwcześnie zmarłego —Karola Podhajskiego budzi się do życia i organizuje czeska kynologja w r. 1923. Powstaje Rada Kynologiczna, która na pierwszem posiedzeniu dn. 23 czerwca 1923 uchwala pierwsze regulaminy prób polowych, otwarcie ksiąg rodowych dla psów myśliwskich, regulamin zapisu i rejestracji hodowli. Przykładem, jak powinno się działać, chcąc wogóle coś zrobić, jest fakt, że księgi rodowe przyjęły pierwsze zapisy już 11 lipca 1923, a więc w niespełna trzy tygodnie od uchwały organizacyjnej.

W końcu roku 1924 wyszedł z druku pierwszy rocznik Clp. (czechosłowackie łowieckie psy), obejmujący 680 zapisanych psów i 105 zarejestrowanych hodowli. Od tej chwili roczniki są wydawane stale.

W roku 1925 opracowano regulaminy: wystaw, prób norowania dla foksterjerów i jamników, oraz prób polowych dla przepiórkarzy i spanieli.

Wr. 1926 ministerstwo rolnictwa uznaje księgi rodowe Clp za jedynie miarodajne dla całego państwa.

Poczynając od r. 1929. odbywa się coroczna wystawa ogólno-państwowa psów łowieckich w ramach wiosennej wystawy rolniczo-gospodarczej w Pradze, nie mówiąc już o całym szeregu wystaw prowincjonalnych, pokazów, prób polowych i prób norowania.

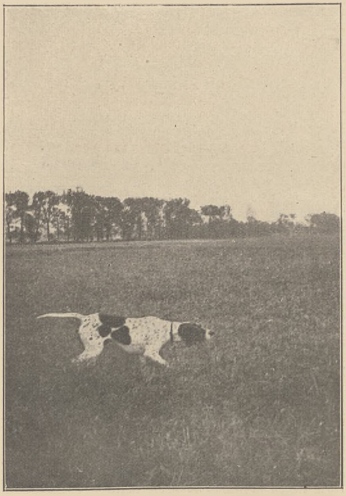
Żywotność kynologji czeskiej nie słabnie pomimo przesilenia gospodarczego, skoro w 1932 r. zanotowano 20 imprez kynologicznych przy udziale 450 psów.

Najpopularniejszym psem łowieckim w Czechosłowacji, sądząc ze zgłoszonych zapisów, oraz wystaw i konkursów, jest foksterjer (ostrowłosy) i wyżeł niemiecki krótkowłosy.

W ostatnich czasach wprowadzono pewne zmiany w regulaminie prób polowych wiosennych dla przyszłych wyżłów dowodnych, oraz w regulaminie prób ostrości dla psów starszych; zamiast koniecznego duszenia drapieżnika na próbach, wprowadzono ewentualne zeznanie sędziów, że danego psa gdzieindziej przy podobnym wyczynie widzieli. Zmianę tę wprowadzono ze względu na ludzkość i pewne cechy barbarzyństwa tych prób.

Mimochodem dodać muszę, że organ łowiectwa i kynologji czeskiej „Straż Myślivosti", założony w 1923 r. z nakładem 700 egzemplarzy, obecnie, po latach dziesięciu, rozchodzi się w pokaźnej ilości 12.000 egzemplarzy.

WŁ. KARNKOWSKI.



Fot. K. Kamieński.

„Splendor-Bey" (Blackfield-Drop—Bolmil Prima) lat 2 i 6 miesięcy, p. W. Wattsona, pointer, pies biały w czarne łaty i centki, zdobywca w bieżącym roku: 1-szej nagrody na field-trialsach, 1-szej nagrody na próbach polowych Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich, dyplom 1-go stopnia w konkurencji zwycięzców na próbach polowych Towarzystwa Hodowli Psów Rasowych, Sekcji Myśliwskiej, 2-ch złotych medali na wystawie psów rasowych w Warszawie, złotego medala na pokazie w Wilanowie i złotego medala na wystawie w Toruniu.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ

posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 26 października 1933 r.

Obecni pp.: przewodniczący W. Szperling, W. Garczyński, B. Gędziorowski, W. Kiltynowicz, H. Knothe, C. Lisowski, M. hr. Potocki, J. Skrzypek, Wł. Słończyński, A. Tallen-Wilczewski, J. Żukotyński; sekretarzował J. Bokiewicz.

Podządek dzienny obejmował:

Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 16 października r. b., sprawy bieżące i wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 16 paździednika r. b. bez zmian przyjęto do zatwierdzającej wiadomości.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości zawiadomienia delegatów powiatowych Związku, pp.: Rudzkiego (pow. Opatów, woj. kieleckie), B. Jakubowskiego (pow. Końskie, woj. kieleckie) i E. Wagnera (pow. Kosów, woj. poleskie) o doręczeniu przez nich medali i dyplomów odznaczonym funkcjonarjuszom policji państwowej i gajowym.

Na wniosek p. starosty powiatowego w Krzemieńcu, Wydział Wykonawczy zatwierdził kandydatury na delegatów powiatowych Związku w powiecie Krzemieniec (woj. wołyńskie) pp.: nadl. Justyna Brakowskiego, kpt. Stanisława Żukotyńskiego i inż. Ryszarda Trepki.

Wydział Wykonowczy przyjął do wiadomości protokół dorocznego zebrania Powiatowej Rady Łowieckiej w Łomży. Rada ta przekazała Związkowi po zł. 5.— od każdego jej członka. Postanowiono członków Powiatowej Rady Łowieckiej w Łomży zaliczyć w poczet członków popierających Związku.

Postanowiono również zaliczyć w poczet członków popierających Związku 10 członków Rady Łowieckiej Powiatu Wysoko-Mazowieckiego.

Zakwalifikowanie Towarzystwa Łowieckiego w Wąbrzeźnie do przyjęcia w poczet Stowarzyszeń Związkowych odłożono do czasu zatwierdzenia statutu tegoż Towarzystwa przez władze administracyjne.

PROTOKÓŁ

posiedzenia Zarządu Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia z dn. 20 października 1933 roku.

Obecni pp.: J. Gieysztor, M. Hofman, H. Knothe, W. Korsak i A. hr. Starzeński.

P. Gieysztor zdał sprawę z wykonania uchwał Zarządu, powziętych na sierpniowem posiedzeniu. Przedewszystkiem więc zwrócono się do pp. wojewodów: nowogródzkiego, poleskiego

i wileńskiego z prośbą o powiadamianie Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia o zgłoszonych przez właścicieli łowisk prywatnych podaniach o odstrzał łosi, celem umożliwienia Sekcji zajęcia w tej sprawie stanowiska, z uwzględnieniem ilostanu i warunków rozmnoży łosi w każdym z tych łowisk. Wszyscy wojewodowie ustosunkowali się do prośby tej przychylnie i, istotnie, zarówno komunikowali Sekcji, przez Wydział Wykonawczy P. Z. S. Ł. o zgłoszonych podaniach, jak też uwzględnili wnioski Sekcji co do ilości odstrzału losi, ustalonego na sierpniowem posiedzeniu Zarządu, jak i co do przyznanego dodatkowo w ilości 4 sztuk dla hr. Jarosława Potockiego przez Prezydjum Sekcji. Ze zgłoszonych do wojewodów podań o odstrzał łosi, Prezydjum Sekcji ustosunkowało się negatywnie tylko do podania hr. Franciszka Pusłowskiego (maj. Pieski, pow. Kosów Poleski), a to z uwagi na zupełny brak wiadomości o stanie ilościowym i jakościowym łosi na tym terenie. Może właśnie pod wpływem tej ujemnej opinji p. wojewoda poleski pominął Sekcję O. i H. Ł. przy następnem podaniu hr. Mieczysława Pinińskiego (Huta Michalin, pow. Kosów Poleski) i przyznał decyzją bezpośrednią prawo odstrzału 1 łosia „dla celów hodowlanych".

Wykonując inne uchwały Zarządu z dnia 5 sierpnia r. b.: 1) wystosowano w dniu 30 sierpnia pismo do Komitetu Wystawy Łowieckiej w Kolonji z prośbą o urzędowe poinformowanie P. Z. S. Ł. o orzeczeniu co do okazów polskich w dziale łosia — na co otrzymano odpowiedź o przyznaniu ks. Radziwiłłowi dwóch odznaczeń II-go i III-go stopnia za rogi łosia, i hr. M. Potockiemu 1 odznaczenia III-go stopnia, i 2) zakomunikowano w dniu 23 sierpnia sekretarzowi Międzynarodowej Rady Łowieckiej sprostowanie co do mylnie podanej w „Nouvelles cynégétiques internationales" liczby łosi w Polsce.

Po zestawieniu otrzymanych informacyj o dokonanym faktycznie odstrzale łosi podczas tegorocznego rykowiska, otrzymano obraz następujący:

łowisko	*przyznany odstrzał*	*odstrzelono*
Ordynacja Dawidgródecka ks. K. Radziwiłła	7	5
Dobra Rzepichowsko-Chotynickie hr. J. Potockiego	3	3
Poleskie Towarzystwo Łowieckie	3	1
Dyrekcja Wileńska Lasów Państwowych	2	0
Goszczewo hr. M. Potockiego	1	1
Huta Michalin hr. M. Pinińskiego	1	*)
Grudopol hr. A. Jundziłła	1	0
Razem	18	10—11

Jak widać z powyższego, przyznany odstrzał łosi wyzyskano jedynie w 60%. Na wynik ten nie wpłynął bynajmniej ujemny stan łosi, przeciwnie, według ogólnej opinji właścicieli łowisk tak państwowych, jak prywatnych, stan łosi wykazuje ogromną poprawę ilościową i jakościową, czego dowodem są np. dwa kapitalne byki, zdobyte w dobrach Rzepichowsko-Chotynickich, z których jeden miał rozpiętość rogów 1.33 metra, czyli zaledwie o 1 cm. mniejszą od rekordu europejskiego.

Przy omawianiu następnego punktu porządku dziennego — o ochronie łosia przed kłusownikami — wysunięto myśl zużytkowania w tym celu sołtysów, osoby urzędowe, znajdujące się w każdej wsi, wiedzące doskonale, kto posiada broń, kto trudni się kłusownictwem, kto, kiedy i co zdobył i t. d. Gdyby sołtysów wiejskich uznano z urzędu za przysięgłych strażników łowieckich i powierzono im wykrywanie kłusownictwa, można oczekiwać znacznej poprawy istniejącego stanu rzeczy, zwłaszcza przy ustanowieniu za te czynności odpowiedniego wynagrodzenia. Zarząd uznał myśl tę za słuszną i postanowił wystąpić z pismem w tej sprawie do pp. wojewodów: nowogródzkiego, poleskiego i wileńskiego. Równocześnie uznano za konieczne wywieszenie we wsiach, wójtostwach, posterunkach policyjnych i t. p. ogłoszeń z wyznaczeniem osobom, które dostarczą wójtowi, posterunkowi policyjnemu, leśnictwu i t. p. danych konkretnych o kłusownikach, umożliwiających aresztowanie ich, lub pociągnięcie do odpowiedzialności sądowej — nagród pieniężnych w wysokości 50 do 100 złotych, wypłacanych przez Sekcję za pośrednictwem tychże organów władz administracyjnych, po udowodnieniu prawdy.

*) Brak danych. *(Przyp aut.)*.

Dla zrealizowania tych zamierzeń konieczne są środki pieniężne. W tym celu postanowiono podjąć akcję w kierunku jednania nowych członków, a jako środek uchwalono wydrukować kwitarjusze członkowskie, które będą rozesłane obecnym członkom Sekcji z prośbą o werbowanie nowych rzeczników sprawy ochrony i hodowli łosia, za opłatą roczną zł. 10.

Przyjęto do wdzięcznej wiadomości ofiarę na rzecz Sekcji O. i H. Ł.: hr. Jarosława Potockiego w kwocie zł. 100.— i postanowiono użyć ją, stosownie do życzenia ofiarodawcy, na rzecz wydrukowania plakatu propagandowego.

Sprawa monografji polskiej o łosiu, napisania której podjął się p. Włodzimierz Korsak, została omówiona szczegółowo, przyczem termin jej wydrukowania ustalono na początek kwietnia r. 1934 z uwagi na zapowiedzianą na ten czas w Warszawie sesję Międzynarodowej Rady Łowieckiej. Dla zapewnienia autorowi monografji nieodzownego materjału postanowiono zaprenumerować pismo „Der Elch" i skompletować istniejące już zagraniczną wydawnictwa o łosiu.

Przewodniczący Zarządu Sekcji
J. GIEYSZTOR.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

PIŃSKIE KÓŁKO MYŚLIWSKIE.

W myśl § 9 statutu P. Z. S Ł. zarząd Pińskiego Kółka Myśliwskiego niniejszem przedkłada roczne sprawozdanie z działalności za czas od 1 kwietnia 1932 r. do 31 marca 1933 r. *)

Sprawozdanie kasowe: ogólne wpływy 3212.78 zł., wydatki 3120.16 zł., stan kasy na dzień 1. 4. 33 r. 92.62 zł.*)

Liczba członków Kółka Stan liczbowy członków P. K. M. na dzień 1.4.33 wynosił 17 członków.

Tereny łowieckie:

W dniu 1. 4. 32. ogólna ilość terenów łowieckich wynosiła 12.858 hektarów.

W okresie sprawozdawczym zaszły następujące zmiany:

a) wydzierżawiono nowe tereny: wieś Ostrów, gm. Wiczówka, wieś Krajnowicze, wieś Czerniejewicze, wieś Koszewicze, wieś Terebień, wieś Mały Chołożyn;

b) skreślono następujące tereny: wieś Hornoje, ze względu na parcelację, maj. Dąbrowa, wobec dużej odległości od Pińska, wieś Koszewicze, wobec absolutnego braku zwierzyny, wieś Terebień, wobec skreślenia Hornoje, jako stanowiące z nią jedną całość.

Rozem P. K. M. posiada obecnie 16667 ha terenów łowieckich.

Prócz tego zaofiarowano P. K M. bezinteresownie następujące tereny: maj. Wieleśnica p. Twardowskiego, maj. Zawidczyce p. Wieliczko.

Ponadto zarząd P. K. M ma zamiar wydzierżawić w najbliższym czasie wieś Pare, jako teren łowiecki na ptactwo wodne.

Raporty z odbytych polowań i ubitej zwierzyny.

W sezonie zimowym okresu sprawozdawczego P. K. M. odbyło 9 zbiorowych polowań. Razem ubito 165 zajęcy, 2 lisy i 1 słonkę.

Oprócz polowań zbiorowych, poszczególni członkowie Kółka korzystali z polowań pojedyńczych na cietrzewie i ptactwo błotne.

Sprawozdań cyfrowych z tych polowań zarząd P. K. M niestety nie jest w stanie podać ze względu na nieregularność zgłoszeń przez poszczególnych członków.

Tępienie kłusownictwa

Jak wynika ze statystyki ujętych kłusowników, ostatnie zarządzenia władz administracyjnych dały dobre wyniki, gdyż w roku sprawozdawczym ujawniono tylko 3 wypadki kłusownictwa; dwóch przestępców zostało surowo ukaranych; trzecia sprawa dotąd niewyjaśniona.

Oprócz wynagrodzenia strażników łowieckich, którzy do-

*) Pińskie Kółko Myśliwskie nadesłało Związkowi szczegółowy bilans za rok ubiegły.

nieśli o wypadkach kłusownictwa, zarząd P. K. M. przesłał na ręce p. starosty powiatowego kwotę 30 zł. jako nagrodę dla funkcjonarjuszy policji państwowej, którzy przyczynili się do zwalczania kłusownictwa.

Dokarmianie zwierzyny.

Dokarmianie zwierzyny w roku sprawozdawczym zarząd uznał za zbyteczne z powodu łagodnej zimy zeszłorocznej*). Natomiast w Czerniejewiczach i Krajnowiczach przeprowadzone było dokarmianie zwierzyny z inicjatywy p. rejenta Godlewskiego, który pokrył odnośne wydatki z własnych funduszów. Obecnie zarząd zasiał żarnowiec na terenach łowieckich Półtoranowicze, Łosicze, Ochowa, Hołożyna, Krajnowicze i Czerniejewicze.

Organizacja.

W okresie sprawozdawczym odbyło się 9 zebrań zarządu, 1 nadzwyczajne walne zebranie i 1 zwyczajne walne zebranie członków P. K. M.

Ważniejsze uchwały: uchwalono regulamin polowań oraz udzielenie zapomogi w wysokości 20 zł. na rzecz Komitetu budowy szkoły powszechnej imienia Ejsmonda we wsi Kołpaki.

Zakup sznurów na polowania wilcze: mając w pewnym okresie czasu odpowiednią kwotę, przeznaczoną na opłatę dzierżawy terenów Dolska, która nie doszła do skutku, zarząd zdecydował zakupić nowe sznury z fladrami do polowań na wilki, przeznaczając na ten cel kwotę 500 zł.

Obniżenie tenuty dzierżawnej: w okresie sprawozdawczym zarząd uzyskał częściowe obniżenie tenuty dzierżawnej niektórych terenów, co dało pewną oszczędność.

W. ZAJĄCZKOWSKI, kmdr. por. prezes.
T. BORYSIEWICZ, por. mar. sekretarz

KOŁO ŁOWIECKIE ŚW. HUBERTA W KIELCACH.

(—jb—). W drugiej połowie października r. b. odbyło się walne zgromadzenie Koła Łowieckiego Św. Huberta w Kielcach.

Na specjalne podkreślenie zasługuje zamieszczenie na porządku dziennym zgromadzenia, poza sprawami organizacyjnemi— referatu o racjonalnych metodach łowiectwa.

Interesujący ten referat wygłosił p. mec. Kubecki.

W rzeczowej dyskusji nad referatem tym zabierali głos najpoważniejsi myśliwi, a walne zgromadzenie wyniosło uchwałę, wyłączającą z polowań Koła system polowań na zające w kotły, jako przestarzałą metodę niemiecką, wyniszczającą zwierzostan. Uchwalono apel do wszystkich kół łowieckich o wprowadzenie racjonalnego systemu pędzeń.

Dokonano wyboru nowego zarządu Koła Św. Huberta; w skład zarządu weszli pp.: prezes — mec. Kubecki, członkowie — Bodakiewicz, mjr. Droba, Komenda, Katranowski, Sulimierski i Tomicki.



Łoś p. dyr. M. Hofmana, ubity w Puszczy Wiadołupickiej.

TRAGEDJA ŁOSIA W ZWIERZYŃCU W GRODNIE.

Wieczorem dnia 6 października b. r. rozniosła się po Grodnie niezwykła wieść, przyniesiona przez Dr. Wojtałowicza, że we wsi Kraśniany, odległej o 3 km od Sokółki, chłopi złowili łosia i trzymają go na obejściu gospodarskiem.

Wzbudziło to natychmiastowe zainteresowanie w szeregach grodzieńskich zwolenników przyrody i opiekunów miejscowego zwierzyńca. Inż. Jan Kochanowski, który pierwszy tę wieść otrzymał, momentalnie znalazł się przy słuchawce telefonicznej. Dzwoni do starosty grodzieńskiego, by prosić o interwencję w tej sprawie. Głucho... nikt nie odpowiada. Łączy się więc ze starostwem w Sokółce i tu ta sama cisza wieczorna, cisza denerwująca, bo sprawa piekąca, ważna.

Wreszcie zdołał się połączyć inż. Kochanowski z komendantem policji państwowej w Sokółce, od którego dowiedział się, że istotnie żywy łoś, skrępowany powrozami znajduje się u jednego chłopa we wsi Kraśniany. Komendant policji do całej tej sprawy odniósł się z wielką gotowością i bardzo życzliwie, polecając na prośbę inż. Kochanowskiego łosia natychmiast rozwiązać i pilnować przez noc.

Następnego dnia, gdy jeszcze świt nie nastał, pędziło auto ciężarowe z 3-ma ludźmi i odpowiednią klatką z desek do wsi Kraśniany po odbiór łosia. Zastano go żywego w okazałej, stojącej postawie. Był to potężny dwulatek, o dobrym wyglądzie, czyniący pozory osobnika całkowicie zdrowego, bez jakichkolwiek oznak forsownej gonitwy.

Po użyciu różnych forteli, a nie bez trudu, jednakże przy zachowaniu wszelkich ostrożności, znalazł się łoś w klatce, a niebawem był już w drodze do Grodna, gdzie mu w zwierzyńcu przygotowano wygodne pomieszczenie, tuż przy płynącej rzeczółce.

Nadmienić wypada ubocznie, ze zwierzyniec grodzieński jest jedynym zwierzyńcem w kraju, który posiada niepospolitą ozdobę i wielkie dobrodziejstwo, a mianowicie przepływającą przez swój teren rzeczkę, z której zwierzęta ssące i ptactwo korzysta z całej pełni.

Łoś przyjechał szczęśliwie do Grodna dnia 7 października b. r. Z pewnem zdziwieniem, widocznie wystraszone zwierzę nie mogło zdać sobie sprawy co się z niem dzieje, widząc wokół nieznane mu dotąd otoczenie. Chcąc temu zwierzęciu dać złudzenie lasu, oraz zakryć widok na resztę zwierzyńca i przebywających w nim ludzi — obstawiono zagrodę jego wyrąbanemi drzewkami i krzewami, sądząc, że łoś się uspokoi.

Przez cały dzień łoś, podpatrywany z ukrycia, żadnego pokarmu nie przyjmował, jedynie wychodził na kępkę na rzeczółce i pił wodę. Jakkolwiek objaw ten zdradzał stan chorobliwy zwierzęcia, to jednak wygląd tego ślicznego okazu niczem nie zapowiadał rychłego zejścia, które nastąpiło nieoczekiwanie nocą dnia 8 października, ku prawdziwemu żalowi tych licznych zwolenników przyrody, którzy karmili się nadzieją utrzymania łosia przy życiu i zyskania niezmiernie cennego okazu dla miejscowego zwierzyńca.

Schwytanie łosia pod Sokółką jest dziwnem zjawiskiem, bowiem od najbliższego siedliska łosi w Rajgrodzie jest około 60 km, zaś od Berszt około 80 km do Sokółki. Łoś więc musiał zrobić daleką drogę, oraz przejść niebezpieczny pas gęstego zaludnienia.

Cała ta historja — jak mi opowiadał inż. J. Kochanowski — jest tembardziej dziwna, że w najbliższej okolicy Sokółki niema większych lasów. Zachodzą tu więc dwie ewentualności: albo psy prześladowały i pędziły łosia, który w czasie rui zapędził się zadaleko i wszedł na teren dla siebie niebezpieczny, albo też zapędzili go aż pod Sokółkę kłusownicy. Ten drugi wypadek zdaje się mieć więcej cech prawdopodobieństwa.

Łosia tego ostatecznie spotkali pastuchy ze wsi Kraśniany i zapędzili go umyślnie w błoto, w którem ugrzązł bez wyjścia. Zbiegli się wówczas chłopi z okolicznych chałup i poczęli go

wydobywać z bagna przy pomocy sznurów i podważania drągami, aż wydobyli wreszcie.

Przeprowadzona przez miejscowych lekarzy weterynarji sekcja padłego łosia, wykazała zapalny stan przepony i opłucnej, nadto silne przekrwienie całego prawego boku, które zapewne nastąpiło skutkiem podważania i wydobywania łosia z błota różnemi drągami bez troski o jego życie.

Skórę z tego zwierzęcia ściągnięto celem wypchania, niektóre wnętrzności poszły do spirytusu, a resztę, po dokonaniu pewnych pomiarów, wzięła w swe wieczyste posiadanie — ziemia.

Oto niecodzienna i nie całkiem wyjaśniona tragedja łosia, krótkotrwałego, miłego lokatora zwierzyńca grodzieńskiego.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

O ZAWODACH MYŚLIWSKO-STRZELECKICH.

Parokrotnie zabierałem głos na łamach Łowca Polskiego w sprawie strzelań myśliwskich na zawodach, obecnie pragnąłbym poddać krytycznej ocenie wyniki nasze za rok 1933 i lata ubiegłe, oraz zastanowić się nad najbliższą przyszłością.

Jeżeli porównamy wyniki tegoroczne do lat ubiegłych, musimy stwierdzić i poprawę i pogorszenie! Poprawę, jeżeli chodzi o wyniki poszczególnych zawodników — p. J. Kiszkurno rozbija tego roku w Wiedniu 292 talerzyki na 300, gdy we Lwowie miał ich tylko 287, pogorszenie, jeżeli porównamy nasz postęp z postępem innych, bo tenże Kiszkurno ze swojemi 292 tal. ma zaledwie 6-te miejsce, gdy 287 we Lwowie dało mu mistrzostwo świata!

Zamało trenujemy, a przedewszystkiem nie ma kto opiekować się i kierować nowemi siłami, nie mamy klubu strzelecko-myśliwskiego, niema pomocy materjalnej i moralnej dla zawodników. Kiedy inne gałęzie sportu otaczają swoich asów opieką, dają im odpowiednie warunki, trenerów i tereny, o tyle w strzelnictwie myśliwskiem każdy musi własną niemal wyłącznie pracą piąć się naprzód. Piszę niemal wyłączną, bo wiem, że Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich opiekuje się zawodnikami, w miarę możności, lecz te możności są tak słabe, że ograniczają się niemal wyłącznie do organizowania zawodów, względnie do wysłania danego zawodnika zagranicę; nie o to mi chodzi. Zależy mi przedewszystkiem na szkoleniu zawodnika. Wyjaskrawionym przykładem tego była ekipa francuska na tegorocznych zawodach strzeleckich o mistrzostwo świata w Hiszpanji, gdzie rola zawodnika (mówię tu o strzelaniu tarczowem) ograniczała się wyłącznie do oddania strzału, wszystko inne, jak nastawienie celownika, nawet dobranie punktu celowania, należało do kapitana ekipy, który nawet nie podawał zawodnikom wyników!

Przedewszystkiem więc powinien Pol. Zw. Stow. Łow. utworzyć sekcję, zajmującą się wyłącznie zawodami, sekcję, któraby współpracowała ze Związkiem Strzeleckim, Nacz. Radą Strzel. etc. Nie wystarczą na to dorywcze delegowania członków zarządu, musimy nad tem stale pracować i mieć swój program. Sport strzelecki stoi u nas bardzo wysoko, a jego gałąź myśliwska, choć zaniedbana, jest bardzo rozwinięta, niech przypomnę tylko wyniki nasze we Lwowie, gdzie zdobyliśmy parę mistrzostw świata! Nie wolno nam tego marnować i nie możemy wypuścić z rąk sportu, który jest czysto myśliwski i winien znajdować się wyłącznie w rękach myśliwych.

W tegorocznym wykazie strzelań, wydanym przez Zw. Strzelecki, znajdujemy po raz pierwszy konkurencje myśliwskie, oraz ilość punktów, potrzebnych do zdobycia odznaki strzeleckiej. W strzelnicach śrutowych mamy najpierw rzutki. Otóż błędnem mojem zdaniem jest przyznawanie odznaki za 300 rzutków, jeśli mogę się zgodzić na to co do wyborowej, o tyle III, II, I klasę należy naznaczyć i na 100, to jest na tyle, ile zwykle się strzela na okręgowych zawodach i to wedle klucza: 60 na bronzową, 70 na srebrną, i 80 na złotą; jednocześnie przy 300 należałoby podnieść wymagania: 180 na III kl., 210 na II kl. i 240 na I kl., a 270 na wyborową.

Co do zająca, to poznańskie i warszawskie doświadczenie wykazało, jak trudno zrobić 30/30, by zdobyć wyborową odznakę: mistrze Polski i Warszawy mają zaledwie po 27/30, dlatego proponowałbym 28/30 dla wyborowej, 26/30 na złotą, 23 na srebrną i 20 na bronzową. W strzelnicach myśliwskich kulowych praktyka nie wykazała potrzeby zmian, tylko wykreśliłbym z wykazu strzelań rogacza i dużego dzika, a zostawiłbym wyłącznie jelenia (pojedyńczy i dublety) i małego dzika (pojedyńczy i dublety).

Na zakończenie podam tabelkę z rekordami Polski, oraz spis zawodników, posiadających odznakę strzelania wyborowego w strzelaniach myśliwskich:

Rekordy Polski:

Rzutki — J. Kiszkurno	292/300	Wiedeń 1933
Zając — Depczyński *)	27/30	Poznań 1933
Jeleń pojed. — Kpt. Lewiński	101/150	Poznań 1933
Jeleń dublet. — Por. Zalewski	172/300	Poznań 1933
Dzik pojed. — H. hr. Tyszkiewicz	102/150	W-wa 1933
Dzik podwój. — Kpt. Domoń	136/300	Poznań 1933

Odznakę strzelca wyborowego w strzelaniach myśliwskich: J. Kiszkurno, Koscbembahr-Łyskowski, Kpt. Sztukowski, Kpt. Lewiński, Kpt. Bukowski, Por. Zalewski, Wł. Bląk, H. hr. Tyszkiewicz, Por. Skarżyński, M. Golański, dr. Ciążyński, razem 11 zawodników.

H. TYSZKIEWICZ.

AIREDALE-TERRIER.

Najpopularniejszym psem użytkowym w Anglji jest bezsprzecznie airedale-terrier, a to dzięki wielostronności jego zalet; znajdujemy go u wytwornego dżentelmena, jak również u gospodarza na wsi.

Natomiast u nas w Polsce jest on, niestety, jeszcze bardzo mało znany. Chciałbym mu wobec tego poświęcić słów kilka.

W dolinie rzeki „Aire", płynącej przez hrabstwo „Yorkshire", spotykało się często u ludu wybitnie dzielnego, wszechstronnie pożytecznego, kudłatego psa o niezachwycającym wyglądzie (była to pierwotna forma obecnego airedale-terriera), pod nazwą „Waterside" albo „Working-terrier", wyhodowanego przez krzyżowania „Otterhounda" z „Old-english-terrierem". (Ostatnio wymieniona rasa pochodzi z „Bloodhounda" i „Foxhounda").

Wyżej wspomniana rasa „Waterside" wzgl. „Working-terrier", z powodu jej wysokich walorów, zaczęła być popularną, a w roku 1880 wypłynęła na szerszą widownię, mianowicie na wystawie psów w Bingley nad rzeką „Aire", na której to wystawie sędziował obecnie nieżyjący już Mr. Hugh Daziel, jeden z pionierów ang. hodowli psów.



Charlie V. Bielathal, 299920, zdobywca szampionatów niemieckiego i międzynarodowego i tytułu najpiękniejszego airedale-terriera, oraz wielu nagród na wystawach w Wiedniu, Pradze i w Niemczech.

Z jego inicjatywy przemianowano „Waterside" wzgl. „Working-terriera" na obecną jego nazwę „Airedale-terrier".

Ażeby rasie tej dać lepszy wygląd zewnętrzny, doprowa-

*) P. W. Ziegenhirte wyrównał w Warszawie wynik p. Depczyńskiego.

dzono do niej krew krótkowłosego „Black and tan Collie" oraz „Gordon-setter'a".

Celem udoskonalenia temperamentu airedale-terriera nastąpiło jeszcze później krzyżowanie z „Bull" - „Irish" i „Welsh"-terrierami, co w rezultacie wydało airedale-terriera w jego obecnej, doskonałej formie i wspaniałym charakterze.

To byłaby jego historja w krótkich zarysach.

Airedale-terrier należy do rodziny psów szorstkowłosych i osięga wysokość 55—62 cm, przy wadze 20—25 kg. Maść głowy, uszu, nóg i brzucha jest podpalana (lohfarbig) w różnych odcieniach; na plecach natomiast posiada on siodło czarne albo ciemnoszare, lekko faliste. Gęsta sierść nadaje mu odporność przeciw mrozom.

Jego wierne, ciemnobrunatne oczy patrzą z pełnią ognia terriera bystro i śmiało.

Poza Anglją zjawił się on dopiero pod koniec 1892 roku i w stosunkowo krótkim czasie rozeszła się jego sława, jako psa „dla wszystkich i do wszystkiego", po całym prawie kontynencie.

Airedale-terrier, posiadając znakomity węch, jest dzięki swej wysokiej inteligencji pierwszorzędnym psem policyjnym, ochronnym, meldunkowym, sanitarnym (w wojnie światowej używano go z wielkiem powodzeniem) i wobec swojej czujności wymarzonym psem domowym i stróżem.

Pozatem może on z równie dobrym wynikiem służyć jako pies myśliwski i owczarski, gdyż i te żyłki zachował po swoich przodkach.

W obejściu odznacza się on sympatycznemi ruchami, pełnemi temperamentu, czułością, nadzwyczajnem przywiązaniem i łagodnością, nie mniej jednak jest odważnym i ostrym, — o ile sytuacja tego wymaga — i nie opuści swego pana do ostatniego tchu.

Airedale-terrier skupia w sobie wszystkie zalety psów innych ras tak, że śmiało można powiedzieć, iż żaden inny pies nie dorówna mu nawet w przybliżeniu — tak pisał o tej niedoścignionej rasie znany anglik Mr. Vere Shaw.

Wysoką klasę airedala docenia się należycie również w Italji, Czechosłowacji, Belgji, Holandji i Niemczech; za jego hodowlę rządy i samorządy wyznaczają nagrody.

U nas hodowla psów rasowych, a w szczególności airedale-terrierów, niestety, mało jeszcze jest rozwinięta i nikłe spotyka się jej zrozumienie (pomijając wyjątki) nawet w zamożniejszych sferach inteligencji.

Powinniśmy i w tym przedmiocie dorównać zagranicy.

Umieszczona obok fotografja przedstawia jednego z najpiękniejszych airedale-terrierów kontynentu, międzynarodowego championa Charlie v. Bielathal No. 29 920, którego używam w mej hodowli jako reproduktora, dającego rękojmię otrzymania wspaniałego potomstwa.

Właściciel tego reproduktora, p. Fr. Schulze w Trmice (Czechosłowacja) obdarzony został przez ministra rolnictwa orderem za znakomite wyniki w hodowli airedale-terriera.

LEON LAMLA.

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—). Funkcjonarjusze straży granicznej w Zakopanem, w czasie przeprowadzania rewizji u przemytników tytoniu z Czechosłowacji, natrafili u niejakiego Franciszka Łukaszczyka, zamieszkałego w gminie Murzasichle, na 5 skór kozic tatrzańskich, poroża rogacza i karabin, który był w rękach Łukaszczyka narzędziem kłusownictwa.

Aresztowanego Łukaszczyka oddano do dyspozycji sądu w Nowym Targu.

*

(—jb.). W ostatnich dniach października w lasach Chrobrza (woj. kieleckie), znaleziono konającego gajowego Bolesława Oczykowicza, z ranami od uderzeń siekierą na głowie.

Pomimo szybkiej pomocy lekarskiej, gajowego Oczkowicza nie zdołano utrzymać przy życiu.

Natychmiastowe śledztwo doprowadziło do wykrycia i aresztowania zabójcy, którym okazał się kłusownik, Jan Dorosz.

Zbrodniarza oddano sądowi, który rozprawę przeprowadzi prawdopodobnie w trybie doraźnym.

*

(—jb.—). W okolicy Siemianowic (woj. śląskie), w dniu 17 ub. mies. miejscowy gajowy spotkał na polach dworskich dwóch kłusowników, polujących na zające i bażanty.

Jednego z kłusowników gajowy zdołał zatrzymać. Był nim Piotr Breguła z Brynowa k. Katowic.

Obydwaj kłusownicy proceder swój uprawiali oddawna, uchowspólnika, Jana Kosmali, którego następnego dnia aresztowano.

Oddany w ręce policji, kłusownik wskazał nazwisko swego dzili jednak dotąd sprawiedliwości, która ich wreszcie dosięgła.

*

WŁAŚCICIELE ŁOWISK! UBEZPIECZAJCIE SWOJĄ STRAŻ ŁOWIECKĄ NA WYPADEK ŚMIERCI LUB KALECTWA W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM — JEST TO WASZYM KARDYNALNYM OBOWIĄZKIEM.

(—jb.—). W połowie ubiegłego miesiąca, leśniczy lasów prywatnych, Stanisław Dronia, pochwycił na terenie gminy Dębieńsko stare (woj. śląskie) — kłusownika Franciszka Węgrzyka z Rybnickiej Kuźni, jak polował na zające.

Węgrzyka leśniczy odprowadził na posterunek policji państwowej w Czerwionce, gdzie sporządzono odpowiedni protokół i sprawę skierowano na drogę sądową.

*

(—jb.—). W kwietniu roku bież. schwytani zostali z bronią w ręku przez leśniczego w powiecie bydgoskim trzej bracia, kłusownicy, Otton, Paweł i Kurt Mantajowie.

Sprawę ich rozpatrywał sąd okręgowy w Bydgoszczy, który przed dwoma tygodniami wydał wyrok, skazujący wszystkich trzech kłusowników po 4 miesiące aresztu.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Józef Władysław Kobylański: „Łowy orła radziwiłłowskiego", nieznany panegiryk myśliwski. Lwów, 1933 r., odbitka w 50-ciu egzemplarzach z mies. „Łowiec", str. 20.

Znany wszystkim czytelnikom „Łowca Polskiego" i szerokim kołom myśliwskim całego kraju bibljofil i zbieracz, kpt. Kobylański, podczas jednej ze swych wycieczek po kraju odkrył w archiwum nieświeskiem rzadki i nader ciekawy rękopis Piotra Terleckiego Prokopowicza, zawierający kilkanaście wierszowanych penegiryków, a noszący tytuł: „Głos Herbowych Trąb Iasnie Oswieconego Xiązecia Iego Ms. Michała Radziwiłła Starosty Przemyskiego", z 1720 r.

Wśród panegiryków tych znajduje się jeden charakterystyczny, całkowicie myśliwski, opiewający moc i władzę orła radziwiłłowskiego (noszącego na piersi tarczę herbową „Trąby"), za którego sprawą, nieposiadającą żadnych niemożliwości dla najtrudniejszych przedsięwzięć, znalazły się na stołach księcia, odprawującego podówczas zaręczyny swe z kasztelanką krakowską, Sieniawską, wszystkie bez wyjątku dania z mięsa zwierza łownego i ptactwa.

Język wiersza jest niezmiernie dziwaczny, jak również i ówczesna ortografja także szwankuje, co p. Kobylański przypisuje kresowemu pochodzeniu autora, widocznemu też z wielu naleciałości wschodnich.

Odkrycie, jakie uczynił kpt. Kobylański, jest niezmiernie cenne i posiada duże znaczenie dla historji literatury łowieckiej.

Zamiłowani w bibljotekach dzieł myśliwskich zbieracze z opublikowaniem tego oryginalnego utworu poetyckiego Prokopowicza, który był według wszelkiego prawdopodobieństwa zaufanym plenipotentem dóbr radziwiłłowskich w starostwie Przemyskiem, zyskują niezmiernie rzadki i charakterystyczny dla owej epoki rodzaj wiązaną mową pisanego panegiryka, według opinji odkrywcy w literaturze myśliwskiej pierwszego.

Należy żałować, iż „Łowiec", drukując na swoich łamach sam panegiryk i opis okoliczności, towarzyszących jego powstaniu, wyjaśnienie pochodzenia i uwagi krytyczne odkrywcy, poprzestał jedynie na 50-ciu egzemplarzach odbitek broszurowych.

Zdobycz kpt. Kobylańskiego stanowić będzie jeden z najchlubniejszych owoców jego zamiłowania.

*

Władysław Szafer: „Ochrona przyrody na Polesiu", odbitka z wydawnictwa „Postęp prac przy meljoracji Polesia". Nakładem Biura Meljoracji Polesia, Brześć n. Bugiem 1933, str. 8.

Profesor Władysław Szafer, Prezes Państw. Rady Ochr. Przyrody, w pracy powyższej ogłasza postulaty tej instytucji, wysuwane w związku z dzisiejszemi pracami i przyszłem, całkowitem urzeczywistnieniem planu osuszenia Polesia.

Wyliczone są zatem w pierwszej linji te zabytki, twory i szczegóły dla ziem Polesia charakterystyczne, które mogłyby wskutek osuszenia Polesia całkowicie zaniknąć, lub zginąć, a które należy bezwarunkowo ochronić, stwarzając odpowiednie rezerwaty. Wśród szeregu tego wymienione są: krajobrazy, zwierzęta ssące i ptaki, ryby, gady, płazy, ślimaki, owady, rośliny kwiatowe i drzewa, wreszcie zabytki przyrody nieożywionej.

Wśród zwierząt łownych, wymagających w danym wypadku ochrony rezerwatowej, postawione są: łoś, bóbr, ryś, niedźwiedź, dzik, wilk, norka i wydra, oraz pewne gatunki rzadkich ptaków błotnych.

Autor dochodzi do przekonania, że przeważna część tych tworów i zabytków ochronioną mogłaby być, w razie osuszenia Polesia, jedynie w drodze utworzenia wielkiego obszaru rezerwatowego przy możliwie najmniejszych zmianach projektu meljoracji Polesia. W związku z tem prof. Szafer przytacza uwagi prof. Stanisława Kulczyńskiego, doskonałego znawcy Polesia. Czytamy w nich, że poleski park natury może i powinien powstać na obszarze ordynacji dawidgródeckiej, jakkolwiek brak tam i dzisiaj niedźwiedzia, znajdującego się wyłącznie nad Hryczynem.

Kończy prof. Szafer uwagą, że dziś chodzi tylko o to, jak ustosunkuje się do takiego projektu Biuro Meljoracji Polesia, następnie koła naukowe, a wreszcie właściciel terenu, ordynat Karol ks. Radziwiłł.

Sądzimy, że pogląd i decyzja tego ostatniego będą najważniejszemi, gdyż rozstrzygającemi. Pragniemy tu przy sposobności dodać i przypomnieć, że utrzymanie tak wybitnie zabytkowego, rzadkiego na kontynencie zwierza, jakim jest łoś, niekoniecznie jednak związane jest z całkowitem utrzymaniem błot na danym terenie, a także tworzeniem rezerwatów. W Prusach Wschodnich osuszenie terenów nie wpłynęło bynajmniej na istnienie łosi i nie zagroziło im wyginięciem. Zachowano tam jedynie inny, niezbędny warunek dla życia łosia, a mianowicie krzew łozy, którą, osuszając błota, obsadzono kanały, brzegi rzek i t. p., jak również innemi roślinami, stanowiącemi ulubiony pokarm tego cerwida.

Sprawę tę zna dokładnie p. v. Kobyliński, sądzimy więc, iż byłoby wielce wskazanem w materji tej z nim się skomunikować.

WUZET.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

III POKAZ TROFEÓW.

(Zet). Z powodu zainteresowania, jakie obudził projekt urządzenia przez P. Z. S. Ł. na jesieni bieżącego roku III pokazu trofeów łowieckich w Warszawie, ogłaszamy, że termin pokazu nie został jeszcze ustalony, lecz raczej będzie odłożony do wiosny 1934 r. w związku z przypadającym w tym czasie w Warszawie zjazdem Międzynarodowej Rady Łowieckiej (Conseil International de la chasse).

SIDLARSTWO W KIELECKIEM.

(—jb—). Tegoroczny sezon kuropatwi w Kieleckiem nie wypadł tak, jakby mozna się było spodziewać z zapowiedzi w czasie lęgów.

W okresie zimowym na szeroką skalę prowadzono dożywianie zwierzyny, zima zresztą nie była tak ciężka, a jednak stan kuropatw wiele pozostawił do życzenia. Główną tego przyczyną jest sidlarstwo, które w ostatnich czasach rozpowszechniło się zastraszająco, wyrządzając olbrzymie szkody w zwierzostanach.

Kieleckie koła myśliwych prowadzą walkę z wykroczeniami łowieckiemi, konieczne jest jednak wzmożenie działalności policji w tym kierunku, tembardziej, że obecny sezon zajęczy daje przestępcom pole do wynykarstwa.

LIST DO REDAKCJI.

Wszystkich cieszy widok człowieka, spieszącego z pomocą zwierzęciu, szczególniej zwierzęciu maltretowanemu przez innego złego człowieka. Dlatego też powszechna sympatja otacza Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Nie mając nic przeciwko Instytucji, wystąpić muszę przeciwko jej nazbyt nieraz gorliwym członkom i ich nieodpowiednim metodom.

Było to we wrześniu, wracałem z polowania z dworca wschodniego, jechałem na rowerze z psem na smyczy. Wyżeł, sforsowawszy trochę nogę na polu, kulał, dlatego też zachowałem powolne tempo jazdy, równe szybkości normalnego chodu.

Na ulicy Zygmuntowskiej zaczepił mnie jakiś członek Tow. Op. nad Zw. (nie uznał za stosowne podać swego nazwiska) i polecił posterunkowemu Nr. 2727 spisać protokół „za złe obchodzenie się z psem". Pan ów uważał zapewne, iż winienem porzucić rower, torbę ze zwierzyną, dubeltówkę i nieść psa na rękach. Pies, tak czy inaczej, musiał swoją drogę przebyć, jako myśliwy i hodowca psów rasowych nie maltretowałbym własnego wyżła i nie dopuściłbym, żeby w jakikolwiek sposób ucierpiał na zdrowiu.

Tow. Op. nad Zwierzętami uczyniłoby dobrze, pouczając swych członków o ich obowiązkach, chroniąc hodowców przed szykanami dyletanckich opiekunów. Niech Tow. Op. nad Zwierz. nie będzie zarazem towarzystwem maltretowania myśliwych i hodowców.

Z poważaniem
Mieczysław Hermanowski

P. S. Nazajutrz pies biegał jak szalony od rana w pełni zdrowia, bez śladu jakiejkolwiek dolegliwości, a w dwa dni potem wystawiał w polu kuropatwy.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W Silnicy Wielkiej (pow. radomskowski woj. łódzkie), wł. p. Hieronima Siemieńskiego, odbyło się dn. 14 października r. b. polowanie na króliki, na którem ubito w 9 strzelb 1.182 sztuki, w czem 1.162 króliki, 6 słonek, 12 kuropatw i 2 różne.

Zaznaczyć należy, że wskutek deszczu, który przez cały dzień poprzedni padał bez przerwy, polowanie w zagajnikach rano nie było możliwe.

W polowaniu udział brali pp.: Konrad Niemojewski, Paweł i Maurycy hr. Potoccy, Stefan ks. Lubomirski, Andrzej hr. Morstin, Konstanty hr. Zamoyski, Jan Biedrzycki i Stefan Siemieński.

*

— W dn. 26 września odbyło się w maj. Kruszyna (pow. radomskowski) Stefana ks. Lubomirskiego, polowanie na króliki, w którem raczył wziąć udział Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Przy pięknej, prawdziwie letniej pogodzie, polowanie w ośm strzelb dało w rezultacie 826 sztuk, z czego 771 królików, resztę ptactwa.

Pan Prezydent zabił najwięcej, 131 sztuk.

W świcie Pana Prezydenta, w polowaniu wzięli udział pp.: szef gabinetu wojskowego, płk. Głogowski i kpt. Gurzewski, każdy z rezultatem powyżej stu sztuk na rozkładzie. Resztę myśliwych stanowiła rodzina ks. Lubomirskiego.

*

— W dniach 23 i 24 października r. b., przy pięknej, słonecznej pogodzie, odbyły się polowania w dobrach Krzelów Alfreda hr. Wielopolskiego w pow. jędrzejowskim (woj. kieleckie). Polowano ławą w lesie. Ubito: 669 zajęcy, 42 króliki, 30 kuropatw, 139 bażantów, 3 cietrzewie, 9 słonek, 3 różne, razem 895 sztuk. W polowaniu brali udział pp.: Jan Ciechanowski, Henryk i Paweł hr. Potoccy, Władysław hr. Tarnowski, Albert i Zygmunt hr. Wielopolscy i Aleksander margr. Wielopolski. Niezwykłym trafem p. Ciechanowski, gdy dostrzeliwał zbarczonego, wyciekającego bażanta, tym samym strzałem zabił zająca i słonkę, których wcale nie widział.

— Dn. 6 września r. b. odbyło się w dobrach Borki (pow. Radzyń Podl.), wł. sukc. Zygmunta Jaźwińskiego polowanie na kuropatwy. W 8 strzelb. przy bardzo wietrznej pogodzie padło 118 sztuk. 20 sztuk na rozkładzie (najwięcej) miał p. Alexander Hempel.

*

— Dn. 9 września na terenach dóbr Białka u p. Waldemara Doria Dernałowicza odbyło się polowanie na kury z udziałem 8 strzelb. Zabito 137 sztuk. Najwięcej na rozkładzie miał p. Konstanty Jaźwiński (39 sztuk).

*

— Dn. 20 i 21 września r. b. odbyło się polowanie na terenach dóbr Branica wł. p. Władysława Rulikowskiego. W 12 strzelb ubito 352 sztuki. Najwięcej zabił p. Konstanty Jaźwiński, mając 50 sztuk na rozkładzie.

*

— Dn. 26 września r. b. odbyło się polowanie na folwarkach Marynin i Gubernia dóbr Radzińskich wł. p. Bronisława Szlubowskiego. Padło 130 kur i 1 lis. Najwięcej zabił p. Alexander Hempel.

*

— W dniu 19 września r. b. odbyło się polowanie na kuropatwy, pędzone w Krasówku (pow. włoszczowski) u p. Pawła Kozłowskiego; udział brali pp.: Tomasz Karski, Tadeusz Koczonowski, Adamowie Makólscy i Andrzej Dunajewski.

Przy dość silnym wietrze zabito 140 kuropatw i 7 królików. Najwięcej zabił p. Tomasz Karski (45 kuropatw). Przestrzeń opolowana — 300 morgów, stan kuropatw — słabszy, niż w roku poprzednim.

*

— Dnia 30 i 31 października r. b. odbyło się polowanie w Krzepinie (pow. włoszczowski) u pp. Stefanowstwa Siemieńskich. Udział brali pp.: Maurycy hr. Potocki, Wincenty Chrzanowski, Andrzej Karski, Hieronim Siemieński i niżej podpisany. Ogółem padło sztuk 275, w tem: zajęcy — 77, królików — 162, kuropatw — 16, bażantów — 6, cietrzewi — 8, słonek — 4, kszyk — 1, jastrząb — 1. Najwięcej na rozkładzie miał p. Maurycy hr. Potocki: 76 sztuk, w tem 2 słonki.

Urokiem polowań krzepińskich jest nietyle ilość, co rozmaitość zwierzyny. Dowodem tego był pokot. W drugim dniu przeprowadzono tylko pędzania leśne, przyczem ruszono w zagajnikach i ługach 15 słonek, z tych padło tylko 4, reszta wymknęła się zręcznie.

Gościnność gospodarzy oraz piękna pogoda, która dotrzymywała nam przez obydwa dni, przyczyniły się do uprzyjemnienia naszego pobytu, to też opuszczaliśmy Krzepin, żałując, że chwile, spędzone w domu myśliwskim i w gronie prawdziwych myśliwych, minęły tak szybko.

Paweł Kozłowski

OGŁOSZENIA DROBNE

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. Nr. 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15